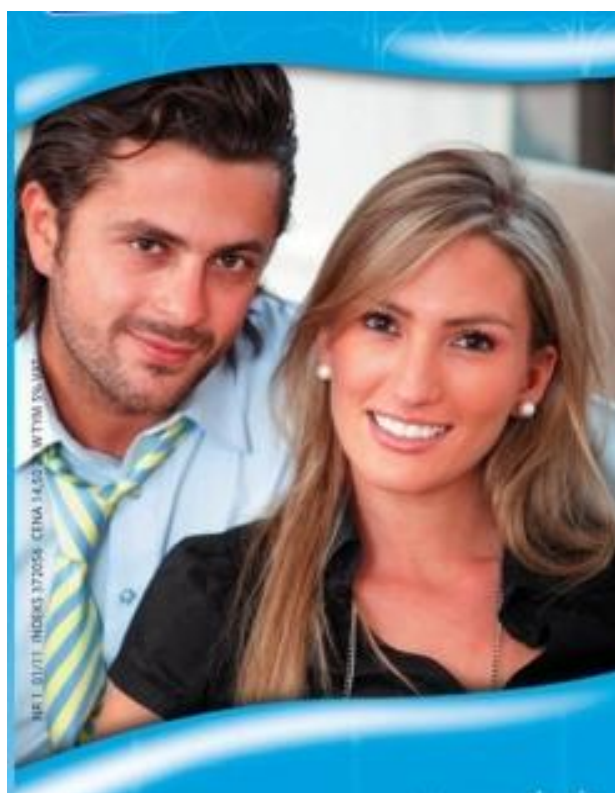




Melanie Milburne

Uzdrowiające spotkanie

Tytuły oryginału: The Doctor's Rebel Knight



ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Nie znoszę chodzić z tobą na plażę - stwierdziła Carolyn Atkins ze skwaszoną miną. - W porównaniu z tobą wyglądam jak szafa trzydrzwiowa.

Fran uśmiechnęła się do swojej młodszej siostry.

- Cóż, nikt ci nie kazał zachodzić w bliźniaczą ciążę. Wpakowałaś się w tarapaty wyłącznie na własne życzenie.

Carolyn pogłaskała swój okazały brzusek i zmarszczyła brwi.

- Wiem. Czułabym się znacznie lepiej, gdybyśmy mieli lekarza w mieście.

- Proszę cię, Caro. - Uśmiech na twarzy Fran szybko ustąpił z troską. Wzięła Rufusa z powrotem na smycz. - Przerabiamy ten temat każdego dnia. Nie nadaję się już na lekarza. Zresztą nie wiem, czy w ogóle się nadawałam.

- Bzdura, Fran - rzekła Caro, strzepując piasek z mokasynów. - Byłaś doskonałym lekarzem. Kochałaś swoją pracę. Na litość boską, przecież byłaś właściwie pracoholikiem. Nie potrafiłaś rozmawiać o niczym innym, dopóki...

- Tak, ale wtedy było wtedy, a teraz jest teraz - odparła szybko Fran. - Chcę o tym zapomnieć.

Zanim tobie urodzą się dzieciaki, ja chcę nacieszyć się urlopem, jasne?

Caro westchnęła z rezygnacją.

- Kochanie, po prostu martwię się o ciebie. Wiem, że nie masz ochoty mówić o tym, co się stało, ale czy nie sądzisz, że rozmowa mogłaby pomóc?

- Carolyn, według najnowszych badań ludzie, którzy skorzystali z pomocy psychologa w następstwie traumatycznego wydarzenia, wcale nie wyszli na tym lepiej niż ci, którzy takiej pomocy nie otrzymali. Niektórzy sugerują, że te osoby miały nawet więcej objawów nerwicy pourazowej niż osoby, z którymi psycholog nie rozmawiał.

Fran założyła torbę plażową na ramię. Ruszyły przez piach z powrotem do domu, prowadząc ze sobą Rufusa, dzierzącego w pysku kawałek wyłowionego z wody patyka w nadziei, że któraś z pań każe mu aportować.

- Naprawdę potrzebuję tego czasu - powiedziała Fran znużonym głosem. - Nie chodzi tylko o... wypadek. Zerwanie z Antonem przyszło tak nieoczekiwanie. Czuję się jak idiotka, że nie zdołałam tego przewidzieć. - Nie do końca była to prawda, ale Fran miała serdecznie dość pytań ze strony znajomych i rodziny.

Caro, w trosce o nogę siostry, zatrzymała się w połowie drogi pod górę. Chociaż minęło już kilka tygodni od zdjęcia gipsu, Fran nadal utykała. Ze wszystkich sił starała się to zamaskować, ale bywały dni, kiedy noga boleśnie o sobie przypominała. Tak jak dziś.

- Przykro mi, ale nigdy nie uważałam Antona za odpowiednią partię. Wiesz, to nie był twój „jedyńy” - powiedziała Caro. - Mama i tata myśleli tak samo. Jak często gdzieś wychodziliście? Raz w miesiącu?

Fran zacisnęła usta, wytrzymując wzrok siostry.

- W zasadzie nie byłam nawet w nim zakochana. Ale masz pojęcie, jak się czuję, wiedząc, że on teraz mieszka z tą swoją ciężarną kochanką z radiologii?

- Cóż, miejmy nadzieję, że ona przejrzy go szybciej niż ty - odparła Caro. - W końcu jest radiologiem, nie?

Pomimo zranionej rozstaniem z Antonem dumy Fran nie mogła się powstrzymać od uśmiechu. Caro pomogła siostrze pokonać strome schodki. Ironiczne poczucie humoru Caro niejedną raz poprawiło Fran nastrój w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Zabawne, że to Fran zawsze była tą beztroską, wiecznie uśmiechniętą, a tymczasem teraz wychodziła z niej, cóż, realistka. Trzy lata pracy na oddziale ratunkowym zrobiły swoje, nie wspominając o ostatnich trzech miesiącach...

- A niech to - mruknęła Caro, otwierając drzwi lodówki, kiedy dotarły już do domu. - Zapomniałam kupić mleko. Założę się, że to przez hormony albo coś. Zapominam o najprostszych rzeczach.

Fran sięgnęła po torebkę.

- Zostań w domu i zdrzemnij się, a ja pojedę do sklepu - powiedziała. - Przywiozę ci coś dobrego. Czekolada?

Uśmiech na twarzy Caro mówił sam za siebie.

- Jesteś słodka.

Fran zawsze uważała drogę do Pelican Bay za wyjątkowo malowniczą, choć w przeszłości przewędrowała niemal całą Australię i była kilka razy za granicą. Głęboki błękit morskiej wody zestawiony z bielą piasku na plaży nieodmiennie zapierał jej dech w piersiach. Gęsto porośnięte drzewami majestatyczne wzgórza, na tle których usadowiło się miasteczko, również wpisywały się w olśniewające piękno krajobrazu.

W przeciwieństwie do przycupniętych na wybrzeżu, wiecznie zatłoczonych kurortów i miast portowych, Pelican Bay zachowało urok dawnych czasów. Człowiek czuł się tutaj jak na wsi; nikt nie przechodził obok ciebie obojętnie, lecz zatrzymywał się i rozmawiał o pogodzie, o tym, gdzie biorą ryby - słowem o zwyczajnych błahych sprawach. Tutaj Fran czuła się częścią społeczności, choć przyjechała na krótko. Teraz zastanawiała się, dlaczego nie przyjeżdżała tu częściej. Cóż, jak zauważyła Caro, praca zawsze była najważniejsza - żyła, by pracować, a nie odwrotnie.

Kiedy Fran zrobiła zakupy i zamieniła kilka słów ze stojącą za kasą Beryl Hadley, ruszyła z powrotem do auta. Po chłodzonym staroświecką, a jednak zaskakująco skuteczną klimatyzacją wewnątrz sklepu, kontakt z upalnym popołudniowym powietrzem późnego października był niczym cios w twarz wymierzony gorącym mokrym ręcznikiem. W ciągu zaledwie kilku minut na niebie pojawiły się złowieszcze sinobrunatne chmury, które zawiśły nad wzgórzami i pogrążyły zatokę w mroku.

Zrywająca się wichura zmarszczyła wody zatoki. Fale popędziły w stronę brzegu. Wiatr smagał rosnące wzdłuż drogi eukaliptusy, przyginając je niemal do ziemi.

Kiedy Fran była w połowie drogi, zaczęło padać. Początkowo spadło kilka kropel na przednią szybę, ale parę sekund później lunęło jak z cebra. Fran usiłowała trzymać się swojego pasa krętej drogi, choć widziała przed sobą jedynie ścianę deszczu. Gdy zwolniła przed kolejnym zakrętem, z bocznej drogi wyjechał wielki, czarny, połyskujący chromem motocykl. Wcisnęła hamulec. Jej serce dosłownie przestało bić.

Motocyklista jakimś cudem zachował równowagę. Fran patrzyła szeroko otwartymi oczami, jak maszyna obraca się w zwolnionym tempie i zatrzymuje przodem do jej auta, wpatrując się w nią niczym lśniący czarny wilk.

Tak mocno zacisnęła palce na kierownicy, że musiała poruszyć każdym z nich osobno, by upewnić się, że nie straciła czucia. Serce biło jej tak szybko, że widziała przed oczami jaskrawe gwiazdki. Huczało jej w uszach. Czowała, że pusty żołądek podszedł jej do gardła. Była roztrzęsiona i chciało jej się wymiotować. Im więcej adrenaliny płynęło w jej żyłach, tym więcej kropelek potu pojawiało się pomiędzy jej piersiami i łopatkami.

Motocyklista przerzucił nogę nad siedzeniem motoru i odprowadził go na pobocze. Krople ulewnego deszczu odbijały się od jego opiętej czarnym strojem sylwetki.

Fran poczuła, jak obawa powoli zaczęła ustępować złości. Nie zamierzała czekać, aż do niej podejdzie. Zjechała na pobocze, odpięła pasy i wysiadła.

- Co ty sobie wyobrażasz, do diabła? - wrzasnęła, próbując przekrzywić ryk ulewy. - Mogłeś nas zabić!

Mężczyzna nie zdjął kasku. Podniósł tylko osłonę, spod której ukazały się zdumiewające jasnobłękitne oczy z dużo ciemniejszymi obwódkami, jakby ktoś wziął marker i delikatnie obrysował tęczówki. Zdobily je czarne jak smoła grube rzęsy, a z tego, co Fran zdążyła zauważyć, jego okazały nos był w przeszłości złamany.

- Widocznie za szybko weszłaś w zakręt - odezwał się. - W przeciwnym razie bym cię zauważył.

Fran zmarszczyła brwi i zacisnęła pięści.

- To ja miałam pierwszeństwo. Powinieneś być zwolnić. - Szybko zerknęła w kierunku bocznej drogi, szukając znaku „stop” na poparcie swoich argumentów, ale go nie znalazła. Mężczyzna zauważył to i rzekł:

- Kilka miesięcy temu pijany kierowca skosił znak „ustąp pierwszeństwa” i do tej pory nie ustawiono nowego.

Fran nastroszyła się.

- No to powinieneś chociaż zatrzymać się, żeby sprawdzić, czy nikt nie jedzie.

Jego spojrzenie wyraźnie ją prowokowało.

- Zatrzymałem się i sprawdziłem. Nikt nie nadjeżdżał. - Zrobił krótką przerwę. - Z jaką prędkością jechałaś?

Fran oparła ręce na biodrach, krzywiąc się na myśl o swojej przemokniętej sukience na ramiączkach.

- Dostosowałam prędkość do panujących warunków - powiedziała, cytując znany slogan.

Fran co prawda nie widziała ust nieznanego, ale miała wrażenie, że się uśmiechnął. Nie był to uśmiech z gatunku „milo mi poznać”, tylko

drwiący uśmiezek „jesteś blondynką, więc nie wiesz, co robisz”. Albo może w ogóle tylko się jej zdawało. Co najwyżej drgnęły mu usta. Sardoniczny błysk w jego oczach sprawił, że krew się w niej zagotowała. W oddziale ratunkowym wielokrotnie miała do czynienia z takimi jak on - facetami, którym wydawało się, że są niezniszczalni, że mogą panoszyć się na drodze i ryzykować życiem i zdrowiem praworządnych obywateli.

Nie sposób było precyzyjnie określić jego wieku. Fran oceniła go na nie więcej niż trzydzieści kilka lat. Miał głęboki głos, opaloną skórę - przynajmniej na tyle, ile widać było pod kaskiem - i przydałoby mu się golenie. Miał zmarszczki wokół oczu, ale trudno było powiedzieć, czy były rezultatem częstego śmiania się, czy może marszczenia czoła. Zachowywał się z arogancką wyższością - kolejna rzecz, która ją irytowała. Kiedy tak stał przed nią na lekko rozstawionych nogach i z rękami złożonymi na szerokiej piersi, czuła się, jakby to ona była winna całemu zajściu.

- Zauważyłem, że utykasz - powiedział z troską w głosie, zerkając na jej lewą nogę. - Jesteś ranna?

- Nie jestem ranna, a przynajmniej nie dzięki tobie. Moja noga jest... - urwała, by właściwie dobrać słowa - była złamana kilka miesięcy temu.

- Jesteś tu nowa? - zapytał, przenosząc skupione i dociekliwe spojrzenie z powrotem na jej twarz. - Nie widziałem cię wcześniej. Przejazdem?

Fran zebrnęła językiem krople deszczu z warg. Stwierdziła, że nie wyjawia mu żadnych informacji o sobie. Postanowiła za to, że zgłosi się na policję i doniesie o jego niebezpiecznej jeździe. W miasteczku nie było lekarza i gdyby doszło do zderzenia, mogłoby to skończyć się tragicznie. Stali na poboczu i dyskutowali już od dobrych kilku minut, a przez ten czas

nie minął ich żaden samochód. Kto wie, ile czasu musiałoby upłynąć, zanim nadeszłaby pomoc?

- Y... przejazdem - odparła.

To niemal prawda, pomyślała. Przyjechała na trzy miesiące: dwa, żeby pobyć z Caro przed porodem, i jeszcze jeden, żeby po nim pomóc jej stanąć na nogi. A potem będzie musiała zastanowić się, co począć z życiem. Im dłużej mogła migać się od podjęcia decyzji, tym lepiej.

Mężczyzna opuścił osłonę.

- Przykro mi, że się przestraszyłaś.

Fran puściła przeprosiny mimo uszu. Nie zabrzmiały szczerze. Zresztą całą swoją postawą dawał do zrozumienia, że nie mógł doczekać się, aż ruszy w swoją stronę. Fran wyprostowała plecy, wzdrygnawszy się, gdy kropelki deszczu spłynęły jej po karku.

- Uważasz, że przeprosiny na odczepne wystarczą? Czy zdajesz sobie sprawę, że ci, którzy wychodzą cało z wypadku, jaki ty przed chwilą prawie spowodowałaś, muszą do końca życia borykać się z poważnymi urazami, a nawet częściową niepełnosprawnością?

- Jeżeli nie znasz tutejszych dróg, musisz zachować wyjątkową ostrożność. Zwłaszcza w czasie burzy. - Włączył silnik, który zaryczał chrapliwie. - Przykro mi, ale nie mam czasu dyskutować o pogodzie. Do zobaczenia.

Fran zmrużyła oczy, usiłując zapamiętać rejestrację motocykla znikającego w strugach deszczu, i pokuśtykała do auta, kompletnie przemoczona i wściekła jak osa. Usiadła za kierownicą i odczekała dwie minuty w nadziei, że ulewa minie. Rozważała, czyby nie zadzwonić do Caro, ale

stwierdziła, że nie ma sensu jej niepokoić, skoro droga powrotna do miasteczka i złożenie skargi zajmie dosłownie kilka chwil.

Posterunek mieścił się w drewnianym budynku, który pamiętał czasy pierwszych pionierów. W niewielkiej recepcji siedział młody posterunkowy.

- Słucham? - odezwał się z uprzejmym uśmiechem.

Fran odgarnęła za ucho niesforny kosmyk włosów.

- Chciałabym złożyć doniesienie o piracie drogowym. Prawie spowodował niebezpieczny wypadek tuż za granicami miasta.

Posterunkowy sięgnął po formularz.

- Rozumiem - rzekł, zdejmując skuwkę z długopisu. - Czy może pani opisać pojazd?

- Tak, to był motocykl.

- Czy rozpoznała pani markę?

- Nie, ale był czarny i srebrny, to znaczy... chromowany.

Mężczyzna przestał pisać i spojrzał na nią.

- A numer rejestracyjny? Czy zapamiętała go pani?

Fran zmarszczyła brwi, próbując przypomnieć sobie tablice motocykla.

- Chyba powinnam była zapisać. Zaraz sobie przypomnę. Hm... Miał literkę V, a może to było W? Lało tak mocno, że nie mogłam się przyjrzeć, ale na pewno była szóstka... albo raczej dziewiątka.

- To może choć kierowcę pani pamięta? - zapytał posterunkowy ze śmiertelną powagą. - Czy zatrzymał się?

- Owszem - odparła naburmuszonym tonem. - Rzucił wymuszone przeprosiny i odjechał w kierunku miasta.

- A zatem nie jest pani ranna, a pani auto nie zostało uszkodzone?

- Nie, ale nie o to chodzi. W mieście nie ma lekarza. Może pan sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby faktycznie doszło do wypadku?

Posterunkowy skinął głową z ponurą miną.

- Złożę raport. Postaramy się namierzyć tego kierowcę i wystosować pouczenie. Czy zdoła go pani rozpoznać?

Fran przygryzła wargę.

- Cóż, był zasłonięty... wie pan, czarna skóra, wysokie buty i tak dalej. Nie zdjął kasku, tylko podniósł osłonę. Ale na pewno rozpoznam jego oczy.

Rude brwi posterunkowego uniosły się pytająco.

- Jakiego były koloru?

- Błękitne. Niebieskie jak lód, jak lodowiec. I miały ciemniejszą obwódkę.

Zapadła krępująca cisza.

- Czy coś się stało? - zapytała Fran.

W oczach młodego posterunkowego pojawiło się rozbawienie.

- Chyba powinienem poprosić mojego przełożonego, sierżanta Hawke'a, żeby zajął się tą sprawą - powiedział, wyraźnie powstrzymując śmiech.

- Zdecydowanie chciałabym z nim porozmawiać, o ile jest w stanie zrobić coś z tym nieodpowiedzialnym motocyklistą, który swoim nieprze-myślanym zachowaniem naraża na niebezpieczeństwo życie innych ludzi. Czy pana przełożony jest teraz w pracy?

Posterunkowy odchrząknął.

- Tak - odparł. - Przyjechał kilka minut temu. - Nacisnął przycisk interkomu. - Sierżancie, pewna pani chciałaby się z panem zobaczyć. - Po chwili spojrzał na Fran i zapytał. - Pani nazwisko?

- Doktor Frances Nin. - Przedstawiła się formalnie, choć jej tytuł mało miał wspólnego z praktyką.

Posterunkowy powtórzył nazwisko, a potem wstał, by zaprowadzić Fran do znajdujących się na końcu wąskiego korytarza drzwi.

- Sierżant Jacob Hawke czeka na panią. Zmierzając ku wskazanym drzwiom, Fran nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo ma przemoczone włosy i ubranie. Podniosła rękę, by zapukać do drzwi, ale przedtem spojrzała w dół i zobaczyła, że przez jej mokrą sukienkę wszystko widać niemal jak na dłoni - zarys różowo-żółtego bikini, które nadawało się na pustą plażę, opalanie i towarzystwo siostry, ale było mocno niestosowne w sytuacji, gdy ma zgłosić się do oficera policji stanu Nowa Południowa Walia lub dowolnego innego.

Fran wzięła głęboki oddech, podniosła rękę i zapukała. Słyszała, jak ktoś równym krokiem podchodzi do drzwi i otwiera je. A potem szeroko otworzyła usta,

Fran patrzyła na niego z miną, jakby miała wytrzeszcz oczu. Teraz, widząc go bez kasku, zdała sobie sprawę, że jest oszałamiający. Jego skóra miała oliwkowy odcień, a kanciastą szczękę zdobił kilkudniowy zarost. Miał zmysłowo ukształtowane usta, które - jak podejrzewała - zdążyły już dokonać spustoszenia wśród przedstawicielek płci niewieściej, Te jego błękitne oczy - niebieskie niczym lód - wpatrywały się w nią, przyspieszając bicie serca.

- Doktor Nin - powiedział z nutką ironii w głosie - A ja sądziłem, że nie mamy w miasteczku żadnego lekarza. Witam w Pelican Bay.

- W tej chwili nie prowadzę praktyki - odparła chłodno. - Niedługo wyjeżdżam.

Uniósł brwi.

- Czy pani doktor została uprzedzona, że podczas urlopu być może będzie musiała trochę popracować - zapytał.

- Jeśli mówię, że jestem na urlopie, to znaczy, że nie pracuję, sierżancie...

- Hawke. Jacob Hawke.

Zirytowało ją to, że się zarumieniła. Nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy zdarzyło jej się to po raz ostatni. Od początku studiów często miała do czynienia z nagimi ciałami mężczyzn, ale z jakiegoś powodu ubrane w czarny skórzany strój ciało sierżanta Hawke'a sprawiło, że zaczerwieniła się od stóp do głów. Niemal fizycznie poczuła skrzące się od elektryczności powietrze.

- Ma pani ochotę wejść? - zapytał, otwierając szeroko drzwi. Odniosła wrażenie, że zaproszeniu zabrakło entuzjazmu.

Fran wiedziała, że wyjdzie na idiotkę, jeżeli teraz odwróci się na pięcie i czmychnie. Ale z drugiej strony, jeśli zostanie i powie, co myśli, wyjdzie na jeszcze większą kretynkę. Chęć ucieczki przegrała z obawą przed kompromitacją, więc Fran wzięła głęboki oddech i weszła do biura sierżanta.

Usiadła na twardym plastikowym krześle, przeczesując wzrokiem biurko w poszukiwaniu czegokolwiek, co powiedziałoby o nim coś więcej.

Stwierdziła w końcu, że nie był ani pedantem, ani niechlujem - był po prostu zapracowany.

Zorientowała się, że sierżant nie usiadł za biurkiem. Spojrzała mu w oczy i znów poczuła, jak się czerwieni.

- Posterunkowy Jeffrey poinformował mnie, że chce pani złożyć skargę. Zakładam, że chodzi o mnie.

Uniosła brodę.

- To, że jest pan policjantem, nie oznacza, że może pan prowadzić jak szalenciec - oznajmiła.

Choć w jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień, jego błękitne oczy zamieniły się w kamień.

- Pani doktor - zaczął, celowo zawieszając głos.

- Warunki na drodze były trudne i moim zdaniem jechała pani odrobinę zbyt szybko.

Fran poczuła, jak wzbiera w niej złość. Zerwała się gwałtownie na nogi. Chora kończyzna zaprotestowała, a na twarzy Fran pojawił się grymas bólu.

- A więc to moja wina, tak? - zapytała, gromiąc go wzrokiem. - A pan?

Wytrzymał jej wzrok przez kilka sekund, po czym opuścił ręce i odkleił plecy od szafy na dokumenty.

- Jeśli koniecznie musi pani wiedzieć, jechałem do wezwania - odparł. - Proszę mi wybaczyć, ale muszę zająć się pewnymi sprawami przed wyjazdem do Sydney.

Mówi prawdę czy ją zbywa? W końcu nie było żadnych świadków tego ich „potencjalnego wypadku”, jak to zgrabnie ujął. Jego słowo przeciw-

ko jej słowu. Znała środowisko policjantów na tyle, by wiedzieć, że w razie potrzeby kolega poprze kolegę.

Zarzuciła torebkę na ramię, posłała mu spojrzenie z gatunku „nie myśl, że to tak zostawię”, odwróciła się i wyszła z biura, z impetem zamykając za sobą drzwi.

Kiedy wyszła, Jacob przeczesał palcami włosy i zerknął na stojące na biurku zdjęcie. Z trudem przyszło mu myślenie o sobie w kategoriach sieroty. Został sam.

LR

ROZDZIAŁ DRUGI

- Co tak długo? - zapytała Caro w chwili, gdy Fran weszła do domu. - Martwiłam się. Dopadła cię burza?

- O tak, prawdziwy żywioł - odparła Fran, zzuwając przemoczone sandały.

Caro przechyliła głowę.

- Wszystko w porządku? Jesteś cała czerwona.

- Nic mi nie jest - odparła Fran i skrzywiła się, odklejając moką sukienkę od ciała. - Miałam tylko małe starcie z jednym z miejscowych.

Uniesione brwi Caro zniknęły pod nierówną linią grzywki.

- Z policjantem - rzuciła Fran ze złością. Caro podała jej ręcznik.

- Co się stało? Spisał cię za przekroczenie prędkości?

Fran przewróciła oczami.

- Jak na ironię, to on jechał z nadmierną szybkością i to on nie ustąpił pierwszeństwa, ale próbował całą winę zrzucić na mnie. Bezczelny typ. - Fran pokręciła głową. - Sierżant Hawke to chodząca arogancja.

- Sierżant Hawke to gorący samotny towar - oświadczyła Caro z błyskiem w oczach.

Fran posłała siostrze miażdżące spojrzenie.

- Fakt, jestem samotna i mam prawie trzydziestkę na karku, ale nie jestem jeszcze zdesperowana.

- Nie wydaje ci się atrakcyjny?
- Wydaje mi się irytujący.
- Ale atrakcyjny też, nie?
- Ma niezwykle błękitne oczy. Niech mu będzie.

- A ciało? - zapytała Caro. - Dużo ćwiczy. Słyszałam, że urządził sobie w domu siłownię.

- Nie zwróciłam uwagi na jego ciało - skłamała Fran. - Zresztą i tak był ubrany od stóp do głów w czarną skórę.

Caro położyła dłoń na piersi w teatralnym geście.

- Uciszyć się, me serce.

Fran nie zdołała powstrzymać śmiechu.

- Przestań się wygłupiać. Idę wziąć prysznic. Nick już wrócił?

- Nie, powiedział, że zostanie dłużej w pracy. Możemy sobie urządzić babski wieczór. Pomalujesz mi paznokcie u nóg, hm? Sama nie sięgam.

Fran oddała siostrze mokry ręcznik.

- Mowa.

Dziesięć dni później, kiedy Fran zabrała Rufusa na spacer po plaży, nagle zauważyła w oddali biegnącego mężczyznę. W pierwszym odruchu zamarła. Walące jak oszalałe serce uświadomiło jej, że jest na plaży sama i że zbliża się do niej obcy mężczyzna. Rufus, jakby wyczuwając jej niepokój, spojrzał na nią, a potem pobiegł wielkimi susami w stronę biegacza, machając z radością włochatym ogonem.

- Rufus! - zawołała za nim, próbując dotrzymać mu kroku. - Wracaj! Rufus!

Pies nie zwolnił nawet na chwilę. Biegacz zatrzymał się, pochylił i zmierzwił futro psiaka. Miał na sobie spodenki biegowe i sportowe buty. Jego opalona klatka piersiowa wyglądała tak powalająco męsko, jak to tylko możliwe.

Odetchnęła z ulgą, kiedy zobaczyła, jak mężczyzna zachowywał się w obecności psa. Niektórzy ludzie po prostu nie lubią psów i tyle - dla nich perspektywa rozbrykanego kundla w rodzaju Rufusa, który myśli tylko o tym, żeby przejechać językiem po twarzy człowieka i wysmagać go mokrym ogonem, to nic przyjemnego. Ale ten człowiek lubił towarzystwo psiaka i w dodatku najwyraźniej dobrze znał Rufusa. Fran poczuła się odrobinę lepiej. Zobaczyła, że nieznajomy podnosi z ziemi patyk i ciska go do morza. Rufus popędził za badylem, a mężczyzna podjął przerwany jogging.

Kiedy się do niej zbliżył, Fran poczuła, że jej twarz robi się czerwona.

- Doktor Nin - powiedział sierżant, zwalniając i biegnąc z Rufusem - który wywiesił ze zmęczenia jęzor - u boku.

Gdy zatrzymał się przed nią, Fran poczuła na sobie jego wzrok oceniający jej opiętą sarongiem postać. Żałowała, że nie włożyła czegoś, co w większym stopniu zasłaniałoby ciało, ale przecież prawie nigdy nie spotykała na tej plaży żywej duszy. Od paru dni ogarniało ją poczucie, że mogłaby się trochę rozluźnić i przestać przejmować się ludźmi i tym, jak inni ją postrzegali. Nie znosiła sytuacji, w których ludzie gapili się na bliźnę na jej nodze. Sarong był przezroczysty, ale na szczęście nie aż tak przezroczysty.

- Ładny dzień na spacer. - Jacob rzucił Rufusowi patyk.

Fran nie mogła nie zauważyć jego napiętych mięśni. Zresztą w ogóle był w doskonałej kondycji - miał muskularne wysportowane ciało pozbawione grama zbędnego tłuszczu. Jego szerokie ramiona, szczupłą talię i biodra - tak szczupłe, że wyraźnie było widać każdy mięsień brzucha - pokrywała mgiełka potu. Przestań się na niego gapić, upomniała samą siebie i podniosła wzrok. Nagle zdała sobie sprawę, że powinna coś powiedzieć.

- Rufus lubi ćwiczenia.

Jacob posłał jej pierwszy tego dnia uśmiech. Mówiąc ściślej, był to raczej półuśmiezek, grymas, ale mimo to Fran stwierdziła, że nie może odebrać od niego oczu. Zabrakło jej tchu, poczuła mrowienie w brzuchu i ugięły się pod nią nogi - obydwie, nawet ta zdrowa. Nie zorientowała się, że zaraz upadnie, dopóki jego dłoń nie pomogła jej odzyskać równowagi.

Spojrzała na jego opalone palce obejmujące jej przedramię i poczuła dreszcz. Dzięki spacerom po plaży jej skóra zdążyła nabrać miodowego odcięcia, ale daleko jej było do ciemnej karnacji Jacoba. Jej ramię było gładkie i pozbawione owłosienia, zaś jego rękę od łokcia przez zewnętrzną część dłoni aż po długie palce pokrywała gęstwina sprężystych włosów.

- Doktor Nin?

Fran podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Przepraszam. - Oblizła usta. - Czasem tracę równowagę na piasku.

Podobno chodzenie boso ma mi pomóc.

Jacob zabrał dłoń z jej ramienia.

- Jak to się stało?

- Narty - odparła, patrząc w dal. - W Nowej Zelandii.

Chwila ciszy.

- Jak długo zamierza pani zostać w mieście?

- Około trzech miesięcy - odpowiedziała, usiłując złapać za obrożę pędzącego z patykiem Rufusa. - Nie będziemy przeszkadzać panu w bieganiu.

Nie mogła zrozumieć, jakim cudem jej palce nie potrafiły sprostać tak banalnemu zadaniu jak zapięcie smyczy. Zawróciła i zaczęła iść przed siebie, ale Rufus wcale nie chciał odejść. Oglądał się wciąż za siebie, patrząc za wysoką postacią, która, gdy Fran zerknęła ukradkowo przez ramię, była już w wodzie i właśnie pokonywała spienioną falę długimi niespiesznymi ruchami ramion.

Buty biegowe, skarpetki, a także szorty leżały na plaży. Fran wolała nie myśleć o ubraniu, w którym pływał. Męska bielizna niewiele się różni od męskiego stroju do kąpieli, ale niespecjalnie miała ochotę przekonywać się, co Jacob ma na sobie w tej chwili. Pociągnęła Rufusa za sobą i ruszyła ścieżką prowadzącą do domu Caro.

- O Jezu, Fran, jak dobrze, że jesteś - powiedziała Caro. - Chyba muszę jechać do szpitala. Krwawię.

Fran pokonała narastającą panikę i postarała się przestawić na racjonalne myślenie, ale ponieważ miała do czynienia z własną siostrą, za nic nie potrafiła spojrzeć na sytuację z medycznym dystansem.

- Ile krwi? Pojedyncze plamienie czy krwotok?

- Najpierw pojawiło się plamienie, potem miałam parę skurczy, a teraz jest coraz gorzej - odparła Caro, przelękając ślinę. - Zadzwońłam do Nic-

ka. - Rozległ się dźwięk samochodu parkującego przed domem. - Dzięki Bogu, to on.

Fran najpierw zadzwoniła po karetkę, a potem, ułożywszy siostrę w wygodnej pozycji i zapewniwszy szwagra, że wszystko będzie w porządku, szybko spakowała torbę Caro.

- Nie stracę dzieciaków, prawda? - zapytała blada ze strachu Caro kilka chwil później, gdy sanitariusze wnosili ją do karetki.

- Nie, oczywiście, że nie. Być może łożysko trochę się przesunęło, to wszystko. Uspokój się i zrelaksuj. Musisz poczekać na opinię położnika. Nie przejmuj się domem. Zadzwonię do rodziców, jak tylko dowiem się, co u ciebie.

Odwróciła się do Nicka, którego twarz przybrała barwę popiołu.

- Postaraj się nie panikować, Nick. W przypadku bliźniaków wczesny poród to nic nadzwyczajnego. Na tym etapie Caro będzie znacznie bezpieczniejsza w szpitalu.

- Dzięki, Fran - odparł Nick ze ściśniętym gardłem.

Trzy godziny później zadzwonił telefon. Nick oznajmił, że został dumnym ojcem dwójki chłopców. Maluchy leżały na oddziale noworodków i miały tam pozostać jeszcze przez kilka tygodni. Zasadniczo wszystko z nimi w porządku, aczkolwiek lekarz zasugerował, że jedno z dzieci może zostać przetransportowane do kliniki w Sydney w celu dalszej obserwacji. Nick postanowił, że zostanie z żoną w szpitalu w Wollongong.

- Jak się czuje Caro? - zapytała Fran przez łyżę.

- Świetnie. Chce z tobą porozmawiać. Dam ci ją.

- Fran, nie uwierzysz, jacy oni są maleńcy - rozpływała się Caro z macierzyńską dumą w głosie. - Nie mogę się doczekać, kiedy będziesz mogła ich zobaczyć. Nick prześle ci zdjęcia telefonem. Jeszcze nie wybraliśmy imion. Nie możemy się zdecydować - głupie, nie? Od dziesięciu minut się o to sprzeczamy. Fran, tak się cieszę.

- I ja się cieszę razem z tobą - odparła Fran, usiłując zignorować ukłucie zazdrości, które przeszło jej serce.

Caro była tylko dwa lata starsza, a już miała wspaniałą rodzinę - świetnego męża i dwójkę cudownych dzieciaków - gdy tymczasem Fran została kariera, do której bała się wrócić, oraz tęsknota za mężczyzną, który kochałby ją tak, jak tego pragnęła. Zbeształa samą siebie za gorzkie myśli. W życiu bywa różnie i nie zawsze ma się domek z ogródkiem, różami i białym płotkiem. Czasem jest ciężko, a czasem wszystko zmienia się w mgnieniu oka.

Kiedy kilka minut później nadeszły zdjęcia noworodków, Fran pozwoliła sobie uronić kilka łez. Tak rzadko reagowała płaczem. Studia i praktyka lekarska zahartowały ją, być może nazbyt mocno, ale z rodzicami było podobnie - ani matka, ani ojciec nie byli przesadnie wylewni. Ale teraz, w wielkim domu nad brzegiem morza, mając za towarzysza jedynie włocha tego kundla, Fran łkała nad swoim straconym życiem, płakała rzewnymi łzami z tęsknoty za tą beztroską dziewczyną, którą kiedyś była.

Nagle Rufus zaczął szczekać. Dzwonek zabrzączał przeciągle, jak gdyby ktoś uwiesił się na przycisku. A potem rozległo się łomotanie do drzwi. Zirytowana najściem Fran wytarła nos i ostrożnie otworzyła ciężkie drzwi wejściowe.

Mieszkający dwa domy dalej sąsiad Caro i Nicka wparował na korytarz. Był biały jak kreda i cały się trząsł.

- Doktor Nin? Caro mówiła mi, że jest pani lekarzem. Szybko, za mną. Musi pani jej pomóc. Moja córka... - Zaczął płakać. Każdy spazm rozdzierał mu pierś. - Moja córka, Ella, wpadła do basenu. Nie oddycha.

Fran wepchnęła Rufusa do domu, wyszła na werandę i zamknęła za sobą drzwi.

- Kto z nią jest? - zapytała, czując, jak wali jej serce.

- Moja żona - odparł, krztusząc się łzami. - Zastosowała pierwszą pomoc, ale to nic nie dało. Musi pani pomóc. Proszę, szybko.

- Dzwonił pan po karetkę? - zapytała, biegnąc za mężczyzną i walcząc z uciskiem w żołądku.

- Tak, tak, ale nie zdążą dojechać. Mają inne wezwanie, poza miastem. Jane pomyślała o pani.

- W porządku. Joe, zgadza się? - Fran przypomniała sobie jego imię.

Caro opowiadała, jaką to miłą rodziną są państwo Pelleri. Zamieszkali w miasteczku całkiem niedawno, ale szybko się zaaklimatyzowali. Joe pracował jako mechanik w miejscowej stacji obsługi, a Jane opiekowała się domem i trójką dzieci: dziewczynką i dwoma chłopcami.

Dom Caro dzieliło od domu państwa Pellerich zaledwie sto metrów, ale Fran czuła, że serce biło jej tak mocno, jakby chciało wyrwać się z piersi. Mózg pozbawiony dopływu tlenu nie przetrwa długo. Dziecko może wytrzymać dłużej, ale nawet jeżeli uda się je odratować, może się okazać, że serce i płuca będą funkcjonowały poprawnie, ale mózg zostanie nieodwracalnie uszkodzony. Do tej pory dziecko mogło już nie żyć.

Liczyła się każda sekunda.

Jane Pelleri dalej usiłowała reanimować córkę. W tle płakali dwaj mali, przerażeni chłopcy.

- Jane, ja się tym zajmę - powiedziała Fran spokojnym tonem, który komunikował: „Jestem lekarzem i wiem, co robię”, choć wątpliwości i obawa, czy podoła, nie dawały jej spokoju. To nie jest doskonale wyposażona izba przyjęć, tylko zwykły dom. Ogarniał ją coraz silniejszy strach. A jeżeli nie poradzi sobie? Jeśli zawiedzie? Kiedy przystąpiła do oceny sytuacji, nagle targnęły nią mdłości, zaczęła się intensywnie pocić, a jej ręce wpadły w niekontrolowane drgawki.

Dziecko leżało na bardzo miękkiej sofie, przez co masaż serca w wykonaniu matki dziewczynki był kompletnie nieskuteczny. Fran położyła małą – której wiek oceniła na mniej więcej osiemnaście miesięcy - na plecach na dywanie i odchyliła jej główkę delikatnie do tyłu, by udrożnić drogi oddechowe. W ustach dziecka znajdowały się pozostałości po krakersie, które Fran usunęła palcem. Maleństwo nie oddychało i było sine. Podtrzymując główkę Elli, Fran przyłożyła usta do nosa i ust dziewczynki i pięć razy wtłoczyła jej powietrze do płuc. Następnie zbadała puls, najpierw w tętnicy ramiennej, a potem szyjnej.

Albo w ogóle brak było tętna, albo Fran po prostu nie zdołała go wy-czuć, ponieważ w ciągu ostatnich beczynnych miesięcy wyszła z wprawy. Musiała założyć, że bicie serca dziecka ustało. Delikatnie przyłożyła dwa palce tuż nad mostkiem dziewczynki i zaczęła naciskać: dwadzieścia szybkich ucisków na każde kilka oddechów.

Czy to na pewno prawidłowa proporcja? - pomyślała w panice. Najwyższa była u dorosłych, mniejsza u dzieci, a najniższa u noworodków. O mój Boże, ile wynosi ta proporcja? Czy tamtego feralnego dnia razem z jej ufnością w medycynę diabli wzięli jej umiejętności i wyszkolenie? Strach zakłócał jej myśli. Nie była w stanie tego zrobić. Nie uda jej się. Nie uratuje tego dziecka. Jak wtedy stanie twarzą w twarz z jego rodzicami? A ci dwaj chłopcy? Boże, miała wrażenie, że nawet wiszące na ścianach zdjęcia patrzy na nią oskarżycielskim wzrokiem. Jesteś zerem. Co z ciebie za pożytek? Patrz, co narobiłaś.

Jak przez mgłę zarejestrowała dźwięk syreny, a kilka chwil później stwierdziła, że klęczy obok niej Jacob Hawke i coś mówi, ale wszystko odbywało się jakby w próżni. Nie słyszała go, widziała jedynie, jak porusza ustami, ale miała wrażenie, że strach tłumził wszelkie dźwięki.

- Pomóż mi - warknął Jacob, wytrącając ją w końcu z odrętwienia. - Trzymaj ją prosto, a ja zrobię oddychanie.

Fran zamrugła powiekami i wróciła do rzeczywistości. Ułożyła dziecko w odpowiedniej pozycji i patrzyła w niemym otepieniu, jak Jacob uparcie, zdawało jej się, że wręcz godzinami, powtarza procedurę wdechów i uciśnień. Sytuacji nie poprawiała dwójka wyjących chłopców i znajdująca się na skraju hysterii matka. Czy kolor skóry dziecka się zmienił, czy to tylko wyobraźnia Fran?

Nieoczekiwanie maleństwo zakaszłało, a potem jego ciało wpadło w drgawki. Dziewczynka zwymiotowała trochę wody, znowu odkaszlęła i zaczęła zawodzić. Kolor jej twarzy zmienił się z lawendowego w intensywnie czerwony.

W oddali dało się słyszeć jeszcze jeden zawodzący dźwięk - tym razem była to karetka.

- Mama! - odezwała się dziewczynka chrapliwym głosem pomiędzy jednym kasznięciem a drugim.

- Niech leży na boku - polecił Jacob matce dziecka. - Nic jej nie będzie, ale trzeba ją zabrać do szpitala, żeby zbadali drogi oddechowe i płuca.

Fran usiadła na piętach. Wraz ze wzbierającą falą ulgi czuła ból w piersiach przy każdym oddechu. Ella żyje.

Jacob popatrzył jej w oczy. Było w jego lodowatym spojrzeniu coś takiego, co przeszywało ją na wylot.

- Wszystko w porządku, doktor Nin? - zapytał równie chłodnym tonem.

- T-tak - odparła, korzystając z krzesła, by dźwignąć się na nogi. - Zdekoncentrowałam się przez chwilę... to wszystko.

Jej nerwy nadal były w strzępach. Miała wrażenie, jakby jej ciało rozpadło się na kawałeczki. Ledwo zmusiła nogi do ruchu. Kręciło jej się w głowie tak, że przez chwilę myślała, że zwymiotuje, ale jakimś cudem wzięła się w garść.

- Nie wiem, jak mam dziękować. - Jane łkała, tuląc Ellę w ramionach.
- Nie wiem, jakim sposobem dostała się do basenu. Furtka była zamknięta. Na pewno była zamknięta. Zawsze jestem taka ostrożna.

- Trudno jest mieć dziecko cały czas na oku - powiedziała Fran, zerka-
jąc na siedzącą w kącie pokoju dwójkę chłopców, którzy nadal sprawiali
wrażenie zszokowanych.

Kiedy do domu weszli sanitariusze, Fran opisała im sytuację. Sanitariusz nie byli przeszkolonymi ratownikami, lecz ochotnikami, ale mimo to starszy mężczyzna imieniem Jack, który zajął się małą pacjentką, sprawiał wrażenie kompetentnego i doświadczonego.

Niemal w tej samej chwili, w której karetka ruszyła sprzed domu, na podjeździe pojawił się drugi wóz policyjny. Joe spojrzał pytająco na Fran.

- To standardowa procedura - odparła Fran. Jacob podszedł do policyjnego auta i porozmawiał z oficerem. Kilka chwil później samochód wycofał się z podjazdu, a Jacob wrócił do Joego i wyciągnął do niego rękę.

- Nie mieliśmy okazji się poznać. Jestem sierżant Jacob Hawke. - Uśmiechnął się do chłopców. - Czołem, chłopaki. Jak się nazywacie?

- Ja jestem Joey, a on jest Romeo - powiedział starszy.

- Fajne imiona. Włoskie, prawda? - zapytał Jacob, wzrokiem szukając potwierdzenia u ojca.

Joe skinął głową i przełknął ślinę.

- Sierzancie, myślę, że najlepiej będzie, jeśli porozmawiamy na osobności. Nie chciałbym, żeby chłopcy się denerwowali.

Fran postąpiła krok do przodu.

- Z chęcią zajmę się chłopcami. Może dam im soku? - zaproponowała. Odwróciła się w stronę dzieciaków. - To co, Romeo i Joey? Pokażecie mi, co mama trzyma w kuchni?

Mniej więcej po półgodzinie do kuchni wszedł Joe, a za nim sierżant.

- Dziękuję raz jeszcze, doktor Nin. I panu również, sierzancie - powiedział Joe. - Wiem, że Jane już wam podziękowała, ale przecież uratowaliście naszą córeczkę i jeżeli istnieje jakikolwiek sposób, w jaki moglibyśmy

się odwdzięczyć, po prostu powiedzcie. Ma się rozumieć, doktor Nin, że jeżeli będzie pani chciała naprawić u mnie auto, nie policzę ani grosza.

- Dziękuję, Joe - odparła Fran, czując się jak oszustka. To nie ona ocalała Elle, lecz Jacob, i obydwójce doskonale o tym wiedzieli. - To miło z pana strony, ale ja tylko robiłam... - zaczerwieniła się i dodała wbrew sobie - to, czego mnie nauczono.

- Nie chcielibyśmy pana zatrzymywać. Powinien pan być teraz z żoną i córeczką - rzekł Jacob, a potem odwrócił się do Fran i zapytał: - Podwieźć panią do domu?

Fran rozważała odmowę, ale nadal czuła w chorej nodze stumetrowy sprint, a poza tym przypomniała sobie, że przed wyjściem zamknęła Rufusa w pralni.

- Dzięki - odparła, przeczesując włosy palcami. - Chętnie skorzystam.

Pożegnawszy się z Joem i braćmi Pelleri, Jacob zaprowadził Fran do radiowozu. Odezwał się dopiero, gdy ruszyli.

- Kiedy ostatni raz reanimowała pani dziecko? Fran zeszywniała.

- Proszę posłuchać, to była trudna sytuacja, Rodzina panikowała, a ja nie miałam sprzętu do reanimacji. Nie jestem przyzwyczajona do takich warunków, bo całe życie pracowałam w izbie przyjęć.

Słowa zawisły w ciszy wypełniającej samochód. Poczowała się przekropnie ze świadomością własnej niekompetencji. Kto jak nie ona powinien dać sobie radę w sytuacji kryzysowej, bez względu na dostępne środki? Mogła sobie jedynie wyobrażać, co Jacob o niej myślał: że jest nadętą mieszczką, która nie powstrzymałaby krwawienia z nosa, gdyby nie miała pod ręką zespołu chirurgów. I pewnie miał rację, pomyślała Fran.

- Mogło się skończyć inaczej. Ale się nie skończyło - zauważył Jacob po chwili. - Małe społeczności, takie jak ta, słabo sobie radzą z tragedią. Bo dotyka wszystkich.

Fran zagryzła wargę, widząc oczami wyobraźni przerażone twarze chłopców. Jacob zerknął na nią.

- Wygląda na to, że jeden z chłopców nie zamknął furtki. Matka odwróciła się na chwilę, a ojciec był zajęty.

Fran spojrzała na niego, marszcząc czoło.

- To nie trafi do gazet, prawda? Ta informacja, że jeden z chłopców nie zamknął furtki.

Wziął głęboki oddech i skręcił na podjazd przed domem Atkinsów.

- Jak pani zapewne wie, zawsze gdy mamy do czynienia z wypadkiem, który skończył się lub mógł skończyć się śmiercią, policja ma obowiązek być na miejscu zdarzenia, a także sporządzić raport dla mediów, który zostanie opublikowany ze względów czysto edukacyjnych po to, by ograniczyć niebezpieczeństwa czyhające na dzieci. Wielu rodziców nie jest świadomych zagrożeń wynikających z pozostawienia dzieci bez nadzoru, a także nie zna przepisów regulujących budowę ogrodzenia wokół basenu.

Mięśnie Fran napięły się. Jacob wyłączył silnik i spojrzał na nią.

- Jestem przekonany, że wypadek wcale nie był wynikiem niedopatrzenia ze strony rodziców. Kiedy zbadalem zamek w furtce, okazało się, że jest wadliwy. Czasami furtka się zamyka, a czasami nie. Wina leży wyłącznie po stronie producenta. Państwo Pelleri mieszkają w Pelican Bay dopiero od kilku miesięcy.

Basen, a także chroniące go ogrodzenie, wybudowano dwa tygodnie temu.

- Przepraszam - odezwała się Fran. - Nie chciałam tak naskakiwać, ale ci chłopcy... oskarżenie o coś takiego zniszczy im dzieciństwo.

- A skoro mowa o chłopcach - powiedział, odpinając pasy. - Jak siostra? Słyszałem, że urodziła bliźniaki.

- Trzyma się świetnie, chociaż dzieci będą musiały spędzić trochę czasu na oddziale dla noworodków - odparła Fran. - Nie znam jeszcze ich imion. Kiedy ostatni raz dzwoniłam do Caro, między rodzicami trwała żarta dyskusja.

- To świetna wiadomość. Będą z nich doskonali rodzice. Dobrana para.

- Owszem. Nick to uroczy mężczyzna. Moja siostra jest z nim szczęśliwa.

Chwila ciszy.

- A... pani? - zapytał.

- Co ja?

- Jest pani z kimś związana? Ma chłopaka, narzeczonego, męża?

Popatrzyła na niego, świadoma, że jej twarz płonie.

- Nie wiem, dlaczego zadaje mi pan te pytania. Proszę mi powiedzieć, sierzancie, czy każdą nową osobę w mieście poddaje pan tak wnikliwemu przesłuchaniu?

Jego usta zmieniły wyraz, ale trudno było to nazwać uśmiechem.

- Widzę, że nie jest pani typem randkującym, hm? Poczwała irytację.

- Raczej osobą, która nie ma ochoty rozmawiać z nieznanym o osobistych sprawach - odparowała.

Gwałtownie otworzyła drzwi i rzuciła Jacobowi przez ramię lodowate spojrzenie.

- Dziękuję za podwiezienie.

Na jego twarzy znów pojawiła się ta lekceważąca mina, która irytowała Fran.

- Rozumiem, że ktoś taki jak ja złamał pani doktor serce.

- Po pierwsze, w niczym pana nie przypominał, sierżancie - odparła. - A po drugie, nie złamał mi serca. On... - Urwała, zdając sobie raptem sprawę, jak umiejętnie wmanewrował ją w zwierzenia.

- On... - podjął wątek Jacob, unosząc brwi. Zacisnęła usta i wystawiła nogi na zewnątrz. Nagle słabość jej lewej nogi boleśnie dała o sobie znać. Jacob spróbował dosięgnąć jej z wnętrza samochodu, ale Fran wyskoczyła, potknęła się i upadła na wysypany żwirem podjazd. Jacob zdusił przekleństwo i ruszył jej na pomoc.

- Wszystko w porządku? - zapytał, pomagając jej stanąć na nogi. - Ma pani krew na kolanach - dodał. - Zaprowadzę panią do domu i oczyszczę ranę.

- Dam sobie radę - odpowiedziała, ale było oczywiste, że nie poradzi sobie.

Sprawiała wrażenie roztrzęsionej, była blada, a jej dolna warga drżała lekko, jak gdyby Fran walczyła ze wzbierającymi łzami. Jeżeli chce przetrwać, musi się zahartować, i to szybko.

Jacob otoczył drobne ciało Fran ramieniem i pomógł jej dokuśtykać do drzwi. Jej długie blond włosy laskotały jego nagie ramię. Poczul urzekający zapach letnich perfum.

Po rozstaniu z Melissą postanowił, że nieprędko poszuka sobie nowej partnerki, ale mijały tygodnie, a potem miesiące, aż w końcu nie pamiętał już, jak to jest, kiedy trzyma się kobietę w ramionach. Z drugiej strony, doktor Frances Nin była typem kobiety, jakiego zwykle unikał. Delikatna, kłótniwa i drażliwa - nie były to cechy, których szukał u potencjalnej partnerki na całe życie. Ale musiał przyznać, że wizualnie trudno było jej cokolwiek zarzucić.

Kiedy weszli do środka, Rufus zaszczeakał, ale Jacob - w obawie, by pies nie wpadł z impetem na Fran i nie potracił jej - wydał mu surowe polecenie: „Siad” i pies zamilkł.

- Gdzie ma pani apteczkę? - zapytał.

- Proszę posłuchać, sierżancie Hawke - zaczęła - niepotrzebnie pan się trudzi. To tylko zadrapanie.

- Jacob.

- Słucham?

- Proszę do mnie mówić Jacob - powiedział, wykrzywiając usta. - W Pelican Bay nie przywiązujemy zbyt wielkiej wagi do formalności. Nikt ci tego nie powiedział?

- Jacob... - Uwolniła się z jego objęć. Miała zaróżowione policzki. - Dzięki za podwiezienie, ale naprawdę wolałabym teraz zostać sama.

Jacob spojrział na nią w zadumie.

- Dał ci w kość, co?

Uniosła głowę do góry, a w jej szaro-niebieskich oczach pojawiły się gniewne błyski.

- Mówiłam ci już, że nie zamierzam dyskutować o moim prywatnym życiu - oświadczyła.

- Jak się nazywał? Zacisnęła dłonie w pięści.

- Rozumiem, że twoja praca polega na zadawaniu pytań, ale odmawiam odpowiedzi.

Jacob minął ją i ruszył w stronę pomieszczenia, w którym spodziewał się znaleźć łazienkę. W duchu cieszyła go ta werbalna przepychanka. Spodobało mu się, że oczy Fran straciły ten bezduszny wyraz, kiedy stanęła z nim w szranki. Podejrzewał, że za wrażliwą pozą z gatunku „cały świat jest przeciwko mnie” kryje się pełna werwy młoda kobieta, która po prostu potrzebuje czasu, żeby wszystko sobie poukładać.

Otworzył kilka szuflad pod umywalką i w końcu znalazł to, czego szukał.

- Usiądź. Oczyszczę te twoje zadrapania. Stała z zaciętą miną, wpatrując się w niego oczami, w których szalała burza z piorunami.

- Sama umiem zająć się moimi skaleczeniami, sierzancie. Jestem lekarzem, zapomniałeś?

Zwilżył odrobinę waty wodą utlenioną.

- Cieszę się, że to mówisz - odparł. - Kiedy rozniosą się wieści o twoim sukcesie, wszyscy mieszkańcy Pelican Bay będą do ciebie walić drzwiami i oknami z prośbą o konsultację.

- Obydwoje dobrze wiemy, że to nie ja ją uratowałam.

Ich spojrzenia spotkały się na kilka sekund, a potem Jacob skupił się na apteczce.

- Kiedy byłem małym chłopcem, mama zawsze miała kłopot z odkręcaniem słoików, a przynajmniej tak twierdziła. Staralem się ze wszystkich sił, żeby je otworzyć, aż w końcu kapitulowałem. Ale ona zawsze powtarzała, że poluzowałem zakrętkę i teraz łatwiej jej będzie otworzyć słoik. Miałaś sytuację mniej więcej pod kontrolą, poza chwilą paniki, która mogła przydarzyć się każdemu. Ja po prostu poluzowałem dla ciebie zakrętkę.

Zacisnęła usta jeszcze mocniej, ale Jacob spostrzegł, że na jej twarzy pojawił się cień konsternacji. Położył dłoń na jej ramieniu i delikatnie zmusił do tego, by usiadła na zamkniętym sedesie. Kiedy przykucnął przed nią, Fran poczuła, że zabrakło jej tchu. Na ramieniu wciąż czuła dotyk jego ciepłej dłoni. Nie mogła przestać wpatrywać się w jego ręce. Jego palce były dwa razy grubsze od jej palców, były długie, opalone i zakończone schludnie przyciętymi paznokciami. Miał poobcierane knykcie prawej dłoni - zastanawiała się, Czy to pamiątka po służbie, czy może Jacob uchodzi za miejscową złotą rączkę.

- Au! - Odsunęła się gwałtownie, kiedy przyłożył nasączoną watkę do jej kolana.

- Przepraszam, ale uwierz mi, że mnie boli bardziej niż ciebie.

Fran spojrzała na niego spod przymkniętych powiek.

- Czy pan się ze mnie naśmiewa, sierżancie Hawke? Posłał jej promienny uśmiech, który sprawił, że poczuła łaskotanie w żołądku.

- A dlaczego miałbym to robić, pani doktor Nin? Jęknęła, gdy kolejny raz dotknął jej kolana.

- Wolałabym, żebyś tak się do mnie nie zwracał.

- Zbyt formalnie? Westchnęła.

- Nie czuję się już lekarką, nie chcę już nią być. Zakleił ranę dwoma plastrami i wyprostował się.

- Zamierzasz zmarnować lata studiów?

Fran ostrożnie wstała, zdając sobie sprawę, jak blisko niej stał Jacob. Czowała jego męski ciepły zapach - cytrusową nutkę zmieszana z wypełnionym męskimi feromonami potem. Diabelnie kusząca mieszanka.

- Nie wiem - odezwała się celowo lekceważącym tonem. - Cały czas się nad tym zastanawiam.

Zmiał opakowanie po wacie i wrzucił je do kosza na śmieci.

- Skoro już się nad tym zastanawiasz, to może zastanów się nad czymś jeszcze - powiedział, patrząc jej prosto w oczy. - Mieszkają tutaj ludzie, którym potrzebny jest lekarz. Nie w przyszłym tygodniu, nie za miesiąc, ale dziś, teraz. Nie musisz pracować siedem dni w tygodniu, nikt tego od ciebie nie wymaga, ale może udałoby ci się wygospodarować choćby kilka godzin, raz lub dwa razy w tygodniu, do czasu, aż znajdzie się zastępstwo?

Fran najchętniej przycisnęłaby się obok niego do wyjścia, ale oznaczało to, że musiałaby go dotknąć, a tego wolała uniknąć. Wystarczająco dużo wysiłku kosztowało ją opanowanie się, kiedy zajmował się jej kolanami. Jego delikatny dotyk zrobił na niej piorunujące wrażenie. Opuściła wzrok i przejechała językiem po ustach. Nie wiedziała, co powinna myśleć, czuła się zaszczuta.

Było w nim coś takiego, co nie dawało jej spokoju. Nie chodziło wyłącznie o jego męskość, ale również o otaczającą go władcą aurę - to był mężczyzna, który przywykł do chadzania własnymi ścieżkami i egzekwowania własnej woli.

Kiedy zabrzączał telefon i Jacob odsunął się na kilka kroków, by go odebrać, Fran wydała z siebie westchnienie ulgi. Ułaskawienie okazało się jednak krótkotrwałe, ponieważ niecałe trzydzieści sekund później Jacob był z powrotem przy niej, trzymając w dłoni kluczyki od samochodu.

- Wypadek na Valley Road - oznajmił. - Nastolatka spadła z konia. Co najmniej złamana noga. Karetka pojechała z Ellą Pelleri do szpitala w Wolongong, więc dyspozytorka wezwała śmigłowiec ratunkowy. Pojedziemy do przychodni, zabierzemy sprzęt i może uda ci się choć ustabilizować jej stan, dopóki nie przyleci helikopter.

Nie było sensu mówić, że nie da rady, że dwa wezwania jednego dnia to dla niej zbyt wiele. Widziała w jego oczach, że nie zdoła się wykręcić.

ROZDZIAŁ TRZECI

Z wyjątkowym kogutem na dachu Jacob pędził jak kierowca rajdowy. Jazda w zawrotnym tempie skutecznie oczyściła umysł Fran z uciążliwych myśli poza jedną: jak dotrzeć na miejsce w jednym kawałku? Choć Jacob mieszkał w miasteczku dopiero od kilku miesięcy, sprawiał wrażenie, jakby znał tu każdy zakręt. Po dziesięciu minutach - nie licząc krótkiego przystanku w przychodni - zajechali przed okazałą posiadłość otoczoną białym płotem w wiejskim stylu.

Jacob zaparkował na podjeździe i zgarnął torbę lekarską z tylnego siedzenia, a Fran stanęła ostrożnie na nogach, które wciąż pamiętały bolesny kontakt ze zwirem.

Pośrodku głównego padoku, który znajdował się naprzeciwko budynku w stylu kolonialnym, grupka ludzi otaczała leżącą na ziemi nastolatkę. Trochę dalej leżał koń. Klatka piersiowa i brzuch zwierzęcia podnosiły się i opadały z każdym oddechem, jak gdyby koń usiłował zrzucić z siebie ogromny ciężar.

Wejście na padok znajdowało się w odległości co najmniej dwustu metrów, nie pozostawało więc im nic innego, jak przeskoczyć ogrodzenie. Jedna z osób odłączyła się od grupy i pobiegła przez pole. Jacob pomógł

Fran pokonać płot, a potem podał jej torbę i sam bez wysiłku przeskoczył ogrodzenie.

- Candi złamała nogę, sierżancie - rzekł nerwowo Jim Broderick, ojciec dziewczynki, mężczyzna o ogorzalej twarzy. - Ułożyliśmy ją w wygodnej pozycji, ale strasznie cierpi.

- Jim, to jest doktor Nin, siostra Carolyn Atkins. Przyjechała z Melbourne - powiedział Jacob, zbliżając się do rannej dziewczyny. - Pomoże nam.

- Dzięki Bogu - odparł Jim. - Odchodzę tu od zmysłów, od kiedy dowiedziałem się, że będziemy musieli czekać na karetkę prawie dwie godziny. Moje biedne dziecko zwija się z bólu.

Prawe udo dziewczynki było odgięte do tyłu pod kątem prostym. Na szczęście zdjęto jej but i skarpetkę. Candi wstrząsały spazmy bólu, szczykała zębami, a łzy płynęły jej obfitym strumieniem po piegowatej zakurzonej twarzy. Przynajmniej jest przytomna, skostatowała Fran, zmagając się z uczuciem paniki. Postarała się skupić na zadaniu, oczyścić umysł i pokazać Jacobowi, że wcale nie jest tak beznadziejnie nieużyteczna, jak mu się wydaje.

- Candi, przyjechała pani doktor, żeby ci pomóc - odezwał się Jacob, stawiając torbę ze sprzętem na ziemi. - Niedługo przyleci helikopter i zabierze cię do szpitala.

- Cześć, Candi, nazywam się Fran. - Otworzyła torbę. - Co my tu mamy? Ranna noga. Nic przyjemnego, prawda? Widzę, że jesteś bardzo dzielna, ale spróbujemy powstrzymać ból, okej?

Dziewczyna skinęła głową, nie przestając płakać.

- Co z Cheekym? - Poszukała wzrokiem konia. Jacob wymienił z Fran szybkie spojrzenie – jego oczy mówiły więcej niż słowa. Fran dostrzegła ponury wyraz twarzy Jima Brodericka i zwróciła się do Candi:

- Teraz musimy się skupić na tobie - oświadczyła, wkładając rękawiczki.

Nabrała do strzykawki odpowiednią dawkę morfiny i diazepamu. Umieściła wenflon w lewej ręce Candi, podała przez niego leki, a następnie podłączyła litrową kroplówkę z soli fizjologicznej i poinstruowała Jacoba, jak należy podawać roztwór za pomocą pompy infuzyjnej.

- Będziemy musieli wyprostować nogę, żeby umożliwić dopływ krwi do stopy - rzekła Fran. - Przykro mi, Candi, to trochę zaboli, ale podałam ci środki przeciwbólowe, które powinny już zacząć działać. Naprawdę musimy zająć się nogą, żebyś nie odniosła trwałych obrażeń.

Fran delikatnie uniosła nogę Candi i pomimo krzyków bólu, ułożyła ją w poprawnej anatomicznie pozycji. Zbadła puls w tętnicy grzbietowej stopy i z ulgą stwierdziła, że krew zaczęła w niej krążyć, a stopa odzyskała różowy kolor. Wyjęła z torby nadmuchiwany usztywniacz i założyła go dziewczynie na nogę. Właśnie miała pokazać Jacobowi, w którym miejscu znajduje się wentyl służący do nadmuchiwania usztywniacza, ale okazało się, że Jacob już zabrał się do pracy.

- Dzielnie się spisałaś, Candi - rzekła Fran, siadając na piętach. - Wszystko będzie dobrze. Oczywiście nie obejdzie się bez gipsu, no i przez trzy miesiące nici z jeżdżenia.

- Pomóżcie mi wstać - poprosiła dziewczyna, usiłując unieść się na łokciach. - Chcę zobaczyć Cheeky'ego.

- Przykro mi, kochanie - powiedział Jim. - Nic nie możemy zrobić.

Fran ujrzała, jak twarz Candi marszczy się i zrozumiała, że ból w nodze nie mógł się w żaden sposób równać z bólem, który przeszywał jej serce.

- Nie zabijajcie go! - zawołała Candi płaczącym głosem, bezskutecznie próbując wyrwać się z objęć ojca. - Nie wolno wam go zabijać!

Spojrząwszy na konia, który na próżno usiłował podnieść łeb, łypiąc lśnjącymi oczami, w których ból mieszał się ze strachem, Fran poczuła ucisk w piersi. Zastanawiała się, czy zwierzę wiedziało, że zbliża się jego koniec. Fran widziała już ten sam wzrok u śmiertelnie chorych pacjentów. Światelko nadziei bladło wraz z postępującą świadomością bliskiego końca. Nie sposób zawrócić z tej ścieżki, nie ma sensu liczyć na cud.

Odgłos nadlatującego śmigłowca nie zdołał całkowicie zagłuszyć dźwięku wystrzału ze strzelby, ale na szczęście szybko zaordynowana przez Fran zwiększona dawka środków przeciwbólowych sprawiła, że Candi nie była świadoma ani jednego, ani drugiego odgłosu.

- Nie wiem, jak pani dziękować - powiedział Jim, gdy sanitariusze wnosili jego córkę na pokład helikoptera. - Moja żona zmarła dwa lata temu. Cierpiała na raka piersi, podobnie jak matka sierżanta, która umarła przed dwoma tygodniami. Kiedy to się stało, powróciły wspomnienia. A teraz ten wypadek... Nie mam nikogo prócz Candi. - Przełknął ślinę. - Gdyby coś jej się stało...

Fran dotknęła jego ramienia. Miała do tego stopnia ściśnięte gardło, że nie była w stanie wymówić nawet słowa. Matka Jacoba zmarła przed dwoma tygodniami? Ta informacja wirowała w jej umyśle niczym splątane

ubrania w przeładowanym bębnie suszarki. Nic nie powiedział. Nie napomknął ani słowem. Ale z drugiej strony, nie znała go przecież na tyle dobrze, by oczekiwać czegoś więcej niż wymiany podstawowych informacji. Czy powiedział o tym komuś jeszcze? Skoro Jim Broderick wie, z pewnością wie też Beryl ze sklepu. Fran wyczuwała, że Jacob był bardzo skryty, ale żałowała, że również wobec niej.

- Z Candi wszystko będzie w porządku. To niezwykle dzielna dziewczyna. Musi pan być z niej bardzo dumny.

- Jestem - odparł. - Zobaczy pani, jak tylko zdejmą jej gips, wróci na siodło. Wiem, że tak będzie.

Fran stała u boku Jacoba i patrzyła na oddalający się śmigłowiec.

- Nie wiedziałam, że niedawno zmarła twoja matka - odezwała się. - Przykro mi.

- Dziękuję. - Odwrócił wzrok. - To nie stało się nagle. Była przygotowana do odejścia.

A ty? - Fran chciała zapytać. Czy ty byłeś przygotowany? Ale zanim zdążyła sformułować pytanie, Jacob przerwał ciszę.

- Świetnie się spisałaś. Doskonale, bez względu na okoliczności, zajęłaś się Candi.

Fran spojrzała na miejsce, w którym leżała dziewczynka.

- Czy naprawdę musieli zabijać konia, skoro błagała, żeby tego nie robili? - zapytała, patrząc na Jacoba spod zmarszczonych brwi. - Nie mogli wezwać weterynarza? To z pewnością byłoby bardziej... ludzkie.

Jacob otrzepał spodnie na kolanach.

- To jest wieś, doktor Nin - oznajmił pragmatycznym tonem. - Najbliższy weterynarz znajduje się dwie i pół godziny jazdy stąd. Tak samo jak policjantów i lekarzy, również weterynarzy trudno nakłonić do pracy w takim miejscu. Tutejsza społeczność jest niewielka i niełatwo zarobić na życie, trudniej niż w mieście. Musimy radzić sobie tym, czym dysponujemy. Czasem zdarza się więc i tak, że zwierzę jest zabijane w mało humanitarny sposób, a pacjenci wiele dni lub tygodni oczekują na opiekę lekarską.

Fran wykrzywiła usta, studiując enigmatyczny wyraz twarzy Jacoba.

- Sierżancie Hawke, czy ty mi prawisz kazanie? Wsunął kciuki zapałek, a potem spojrzał jej w oczy.

- Masz umiejętności. To miejsce potrzebuje twojej wiedzy. Pomieszkaż tu kilka miesięcy. Dodaj sobie dwa do dwóch.

Zagryzła wargę.

- Nie wiesz, o co mnie prosisz.

Jacob zaprowadził ją z powrotem do radiowozu, tym razem jak należy, przez bramę, nie każąc jej gramolić się przez plot.

- Jim wspomniał, że córka będzie chciała wrócić do jeździectwa - powiedział, przytrzymując otwartą bramę. - Zakładam, że będzie to dla niej spore wyzwanie, biorąc pod uwagę, co dziś przeszła. Nowy koń, być może inne siodło, ale nadal te same umiejętności jeźdźca.

Fran zmarszczyła brwi. Czyżby wyczuwała podtekst? Czy na pewno Caro nic mu nie powiedziała? Fran kazała siostrze przysiąc, że będzie milczała. Potrzebowała czasu, by poukładać sobie wszystko, pogodzić się z tym i nie musieć wracać do tego za każdym razem, gdy pozna kogoś nowego. Jacob wspomniał, że spotkał się z Caro i Nickiem tylko raz czy dwa, więc Caro z pewnością nie miałyby czasu bawić się w swatkę. A może jednak?

Posłała Jacobowi ukradkowe spojrzenie spod zmrużonych powiek, ale nie zdołała niczego wyczytać z jego twarzy schowanej w cieniu policyjnego kapelusza.

- Jak kolana? - zapytał, gdy znaleźli się w radiowozie.

- Nieźle pan się spisał, sierżancie.

Obdarzył ją jednym ze swoich ulotnych uśmiezków.

- Lubisz utrzymywać zawodowy dystans, co?

- To ty cały czas mówisz do mnie per „doktor Nin”, chociaż uprzedziłam cię, że nie lubię tego.

- Nie lubisz swojego nazwiska? Przyznaję, że jest trochę nietypowe, ale pasuje do ciebie: jest krótkie i na temat.

- To francuskie nazwisko - odparła Fran, puszczając zgryźliwą uwagę mimo uszu. - Podobno mam wspólne korzenie z tą pisarką, Anais Nin.

- To pięknie - rzekł, rzucając jej szybkie spojrzenie i jednocześnie skręcając w kierunku miasteczka. - Moja matka czytywała jej książki. Mówiła, że są zmysłowe albo coś w tym guście, ja się nie znam.

Zapadła cisza, podczas której Fran uważnie przyglądała się rysom jego twarzy.

- Naprawdę bardzo mi przykro z powodu twojej matki - powiedziała miękko.

Posłał jej kolejne, trudne do rozszyfrowania spojrzenie.

- Ależ nie, to ja powinienem przeprosić - odparł szorstko. - Tego dnia, kiedy prawie na siebie wpadliśmy na drodze, odebrałem telefon ze szpitala. Jechałem na posterunek zająć się pilną robotą, a potem miałem jechać do Sydney dopełnić formalności pogrzebowych.

Fran wzdrygnęła się na myśl, jak tamtego dnia nawrzeszczała na niego na drodze, a potem wparowała na posterunek i zrobiła scenę, nawet przez moment nie zastanowiwszy się, przez co przechodził. Zachowała się jak upierdliwa jędra, gdy tymczasem on pogrążony był w żałobie.

- Tak mi przykro - powtórzyła. - Długo chorowała?

- Owszem. - Skreślił z Valley Road i wjechał na drogę prowadzącą wzdłuż zatoki. - Wykryto u niej raka kilka lat po tym, jak zginął mój ojciec. Przez osiemnaście lat dzielnie zmagła się z chorobą.

- Byliście sobie bliscy?

Tym razem jego spojrzeniu towarzyszył żaloszny grymas.

- Wiesz, nie byłem maminsynkiem, ale kochałem ją i będzie mi jej brakowało. Była dobrą kobietą, dzielną i silną, chociaż nie miała w życiu łatwo.

Fran poczuła, jak zapada się w fotel pasażera. Czowała się jak tchórz, który trzęsie kolanami przed pierwszą przeszkodą, jaka pojawia się na jego drodze, zamiast pokonać strach i odnaleźć swoje miejsce w życiu.

Ale na samą myśl o powrocie...

- Żałuję, że nie było mnie przy niej, kiedy umierała - dodał Jacob. - Niestety, nie mogła zostać w miasteczku, bo nie mamy lekarza. Potrzebowała silnych leków przeciwbólowych, więc przed kilkoma tygodniami podjęła decyzję o powrocie do Sydney. Ale przywoziłem ją do Pelican Bay w weekendy, o ile nie miałem służby. Uwielbiała plażę. Potrafiła godzinami przesiadywać na tarasie i wpatrywać się w fale.

Fran zaczynała rozumieć, dlaczego jej odmowa przysłużenia się lokalnej społeczności wydawała mu się płytką i samolubną postawą. Nic dziwnego, że bez ustanku namawiał ją do podjęcia pracy, co do której wykonywania straciła przekonanie - tak to przynajmniej odczuwała. Przeszło jej przez myśl, że powinna mu powiedzieć, ale szybko zmieniła zdanie. Gdyby mu się zwierzyła, czułby się zobowiązany do wzięcia jej pod swoje skrzydła - przerobiła to już ze swoimi kolegami.

- Przykro mi, że tak się ułożyło - powiedziała. Wbiła spojrzenie w połyskujące wody zatoki, która

wyłoniła się przed nimi. Fale równomiernie obmywały biały piaszczysty brzeg, który z pocztówkową doskonałością kontrastował z turkusową wodą.

Gdyby tylko jej życie było równie idealne... Ale z drugiej strony czy ktoś może powiedzieć, że wie dzie doskonałe życie? Nawet najszcześliwsi ludzie, którzy odnieśli wielki sukces, prędzej czy później muszą stawić czoło tragedii. Państwo Pelleri otarli się o nią, a Broderickowie, choć tym razem rodzinna tragedia ich ominęła, w przeszłości nie mieli tyle szczęścia. A Jacob i jego matka...

Po chwili odwróciła głowę w jego stronę.

- Powiedziałaś, że twój ojciec został zabity. Jak zginął?

Wyraz jego twarzy zmienił się. Zaciśnął nerwowo usta i napiął mięśnie pokrytej ciemną szczecina szczęki.

- Od postrzału.

Słowa zawisły w powietrzu między nimi.

- Czy to... - Usiłowała znaleźć odpowiednie słowa, choć w głębi duszy wiedziała, że takie nie istnieją. - Czy to był wypadek?

Posłał jej przenikliwe i gorzkie spojrzenie.

- Został zamordowany - odparł. - Z zimną krwią.

- Co się stało? - zapytała takim samym scenicznym szeptem, jakim posługują się postaci w serialach kryminalnych - i który zawsze potwornie ją irytował.

- Mój ojciec był właścicielem stacji obsługi, takiej jak ta, którą prowadzi Joe Pelleri - rzekł Jacob. - To był rodzinny interes. Mama prowadziła księgarnię, a ja pomagałem po szkole i w niedziele.

- Nie masz rodzeństwa? - zapytała Fran.

- Nie. - Pokręcił głową. - Rodzice mieli tylko mnie. Mama miała kłopoty ze zdrowiem. Zanim się urodziłem, trzy albo cztery razy poroniła. Kiedy po

jawilem się na świecie, postanowiła nie mieć więcej dzieci.

Zapadła cisza, której Fran nie chciała zakłócać. Jacob zawiózł ją do domu i zaparkował na podjeździe.

- A może... wejdiesz na kawę? To był długi dzień i myślę, że jestem ci winna przeprosiny za to, że wtedy, na drodze, nawrzeszczałam na ciebie. Gdybym tylko wiedziała...

- Kawa, owszem.

Zaskoczył ją. Zakładała, że będzie chciał wymówić się i uwolnić od jej towarzystwa, zwłaszcza że otworzył się przed nią, co - jak sądziła - nieczęsto mu się zdarzało.

Nazwisko pasowało do niego jak ulał. To jego błękitne, przesywające, wściekle inteligentne spojrzenie przypominało jej drapieżnego ptaka, właśnie jastrzębia, który wlatuje, patrząc z góry na świat i czekając na właściwy moment, by zanurkować i zaatakować.

Prowadząc go do domu, Fran zdała sobie sprawę, że przedstawia sobą nieciekawego widok: czuła się brudna i zakurzona, oszpecona kulejącą nogą - zwłaszcza w porównaniu z doskonałością Jacoba. Jedną z pierwszych rzeczy, jakie w nim dostrzegła, były jego długie, silne nogi oraz sposób, w jaki chodził oraz stał.

- Pozwolisz, że pójde się odświeżyć - oznajmiła, mając nadzieję, że nie widać jej rumieńców.

- Jasne - odparł i podrapał Rufusa za uchem. Psiak, wprost tryskając energią, przybiegł przywitać się z Jacobem. - Chyba przyda mu się przebieżka. Wrócę za dziesięć minut.

- W porządku - rzuciła Fran, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego serce próbowało wyskoczyć jej z klatki piersiowej na widok Jacoba wychodzącego z domu w towarzystwie rozbrykanego Rufusa.

- Przestań - powiedziała do siebie przyciszonym głosem i ruszyła do łazienki. - Przestań w tej chwili. Nie jesteś sobą. Nie wiesz nawet, czego chcesz od życia, nie mówiąc już o tym, z kim chciałabyś je spędzić. Po prostu przestań.

Jacob nie musiał szukać piłki, wyręczył go bowiem Rufus, który przybiegł, niosąc ją w pysku, z radości młócąc jak oszalały włośchatym ogonem. Jacob skrzywił się, wyjmując obślinioną złachaną piłkę z pyska psiaka, a potem rzucił ją, najdalej jak potrafił. Kundel zerwał się do biegu i z rozwianymi uszami pognął za piłką w dół nasypu, by za chwilę wpaść za nią w krzaki.

Słońce nadal piekło, na horyzoncie widać było nadchodzącą burzę. Jacob czuł w powietrzu napięcie, a może tylko wmówił to sobie? Może chodziło o napięcie, które odczuwał w każdym centymetrze ciała, gdy tylko znajdował się w pobliżu tej niepozornej lekarki? Pomimo ataku paniki u państwa Pelle-rich Fran z chłodnym opanowaniem poradziła sobie z wypadkiem Candi. Miasteczko bez dwóch zdań jej potrzebowało. Właśnie takiej kobiety brakuje w Pelican Bay. Do diabła, możliwe, że potrzebuje jej także on.

Ale czy na pewno chciałby wiązać się z kobietą, która gotowa była ot, tak po prostu machnąć ręką na całą swoją karierę? Jego zdaniem złamana podczas jazdy na nartach noga to żaden pretekst do odejścia z zawodu, na

który istniał tak ogromny popyt. Wykształcenie Fran kosztowało furę państwowych pieniędzy. A może jest przedstawicielką pokolenia X czy Y, czy jak tam się to teraz nazywa, jedną z tych, co to woli skakać z kwiatka na kwiatek i cieszyć się wiecznymi wakacjami? Zupełnie jak jego była, Melissa.

Niewiele wiedział o Fran, ale widać było, że nie brakuje jej pieniędzy. Jeździła dobrym autem wyposażonym w nowoczesne systemy bezpieczeństwa i inne bajery, nosiła ciuchy z wyższej półki, które doskonale na niej leżały. Chociaż w bikini i w sarongu wyglądała rzecz jasna o wiele lepiej. Wciąż miał przed oczami jej ponętą figurę zawoalowaną półprzezroczystym materiałem. Od chwili, gdy ją ujrzał, marzył tylko o tym, by zerwać z niej wszystkie te fatalaszki i zobaczyć, co kryje się pod spodem.

Rufus wrócił z piłką w zębach, dumnie machając ogonem.

- Chcesz, żebym znowu rzucił? - zapytał Jacob. Rufus wypuścił piłkę i, kołysząc zadem, szczechnął w odpowiedzi.

Jacob uśmiechnął się, podniósł mokrą od śliny piłkę i cisnął ją w stronę ścieżki prowadzącej na plażę.

- Bierz ją, stary! - krzyknął, a potem, zdecydowawszy, że sam powinien zastosować się do tego polecenia, zawrócił w stronę domu.

Fran przejrzała się w lustrze i skrzywiła. Szybki prysznic co prawda zmył z jej ciała kurz, ale nie usunął cieni spod oczu. A wysuszenie włosów zajmie przynajmniej dwadzieścia minut.

Hm, dwadzieścia minut w towarzystwie suszarki do włosów... Ten czas mogłaby spędzić u boku najprzystojniejszego faceta, jakiego widziała od... no cóż, od zawsze. Anton, jej były chłopak, nie miał co prawda urody modela, ale też nie musiała aplikować sobie do oczu łagodzących kropeł, gdy na niego patrzyła.

Fran włożyła w końcu jedną z należących do siostry sukienek na ramiączkach - oto największa zaleta posiadania siostry, zwłaszcza takiej, która niedawno była w ciąży: pełna szafa markowych, chwilowo nieużywanych ciuchów.

Kiedy weszła do pokoju, Jacob spojrzął na nią, taksując ją rozpalającym zmysły wzrokiem.

-No, no! Nie obiecuję podobnej transformacji, ale przynajmniej trochę doprowadzę się do porządku, o ile zdołam zmyć z dłoni ślinę psa.

Fran uśmiechnęła się i machnęła ręką w kierunku łazienki.

-Nie krępuj się - powiedziała. - Zrobię kawę. Kiedy kawa się parzyła, Fran wyjęła ciasto, które upiekła dla siostry. Czy to możliwe, że Caro urodziła zaledwie wczoraj? Miała wrażenie, że przez ten czas wydarzyło się tak wiele!

Caro jest matką, małe dziecko zostało uratowane od śmierci, a nastolatkę zabrano do szpitala ze złamaną nogą, która zagoi się znacznie prędzej niż zranione serce.

Jacob wyszedł z łazienki w momencie, gdy Fran przekładała udekorowane różową polewą ciasto kokosowe na przyozdobioną kwiatami paterę.

-Mmm, pachnie świetnie. Czy to domowej roboty?

- Pewnie. - Przesunęła w jego stronę filiżankę i talerz. - Moja matka uczy tego w liceum. Od najmłodszych lat pilnowała, żebyśmy z Carolyn opanowały sztukę gotowania. Nie znosiłam, kiedy mnie zmuszała do nauki, ale teraz jestem jej wdzięczna, że tak się przy tym upierała. Pieczenie mnie odpręży, chociaż robienie tego dla jednej osoby to żadna frajda.

Jacob usiadł przy kuchennej wyspie i spojrzał na Fran stojącą po drugiej stronie blatu.

- Czyli kiedy nie jeździsz na nartach w Nowej Zelandii i nie odwiedzasz siostry, mieszkasz sama?

Fran zagryzła wargę i skupiła się na mieszaniu kawy - czynności zupełnie zbędnej, jako że wcześniej nie dodała do niej ani cukru, ani mleka. Zastanawiała się, czy Jacob to zauważy. W końcu policjant potrafi wyłapać taki szczegół.

- Tak. - Odłożyła łyżeczkę na blat. - Mieszkam sama.

- Masz rację z tym gotowaniem dla jednej osoby - mruknął, podnosząc filiżankę do ust i upijając łyk.

Fran objęła filiżankę obiema dłońmi i spojrzała na niego. Jak to możliwe, że widok mężczyzny pijącego kawę wydał jej się tak seksowny? I jakim cudem facet w mundurze, który pomimo odświeżających zabiegów nadal jest pokryty kurzem, robi tak piorunujące wrażenie?

- Aha - odrzekła, usiłując nadażyć za rozmową, ponieważ w myślach przywoływała wspomnienie Jacoba bez munduru, jak w dniu, gdy ujrzała go na plaży, opalonego, o błyszczącej skórze, młóącego piach długimi umięśnionymi nogami.

- No - mruknął, odstawiając filiżankę na blat i podnosząc do ust kawałek ciasta. - Mieszkam samotnie od pięciu miesięcy, trzech dni i nie wiem ilu godzin.

- Czyżbym wyczuwała bicie serca, które nie do końca się zagoiło? - zapytała Fran.

Rzucił jej gorzki uśmiech.

- Nie, to głos mężczyzny, który z ulgą stwierdza, że nie musi już się nikomu spowiadać dzień w dzień. Do moich zadań należy aresztowanie podejrzanych, pani doktor, i może jestem hipokrytą, ale nie lubię, kiedy ktoś próbuje mnie usidlić.

- Twoja... żona była zaborczą osobą?

- Nie byliśmy z Melissą małżeństwem. Spotykaliśmy się tylko. To ja tak chciałem, nie ona. Ona wolała cały ten kram, wiesz, wesele dla połowy miasteczka, rodzina model dwa plus dwa lub trzy, mąż typu od ósmej do szesnastej i tak dalej. A ja jestem gliną. Przestępcy nie popełniają zbrodni od ósmej do szesnastej. Nawet gdybym usiadł za biurkiem, będą zdarzały się sytuacje, w których służba będzie priorytetem. A poza tym chciałem spędzić trochę czasu na wybrzeżu z moją matką. To była kropla, która wypełniła czarę goryczy, jaką w sumie był nasz związek. Melissa nie miała zamiaru dzielić się mną z umierającą kobietą, a ja nie poszedłem na kompromis.

Fran napiła się kawy i zastanowiła się, czy czasem ta jego postawa „przebolełem to” nie skrywa głębokiej rany. Często niełatwo rozszyfrować uczucia mężczyzny. Okazywanie wrażliwości nie należy u australijskich facetów - a co dopiero policjantów - do częstych zjawisk.

- A więc mieszkasz samotnie w Pelican Bay...

- Tak - odparł. - Mój dom stoi w ustronnym miejscu na szczycie klifu. Jeżeli pójdziesz dalej plażą i wspiniesz się na skałki przy sadzawkach, dojrzysz go, o ile będziesz wiedziała, gdzie patrzeć.

- Musisz mieć stamtąd niezły widok. Uniósł kącik ust.

- Czasem nie ma nic lepszego niż ten widok. Fran wbiła wzrok w podłogę, zastanawiając się, czy widział ją wcześniej na plaży. Często brała ze sobą książkę, siadywała pod rozłożystą patykowatą rzewnią w pobliżu sadzawek i czytała. Raz, dosłownie przed kilkoma dniami, zdarzyło jej się zdjąć górę od bikini, bo chciała poczuć gorące promienie słońca na nagiej skórze. Caro zapewniała ją, że niemal nikt tu nie zagląda, a nawet gdyby ktoś się pojawił, dojrzałaby go z daleka i na pewno miałyby czas, by się ubrać.

- Niezłe ciasto - powiedział Jacob.

- Dziękuję - odparła Fran, oblewając się rumieńcem. Boże, ależ jest beznadziejna! Upaja się każdym komplementem, jakby już nigdy w życiu miała nie usłyszeć niczego miłego. - Może jeszcze kawałek?

- Nie, dzięki, ale z chęcią napiłbym się jeszcze kawy.

Napełniła filiżankę, a potem przyglądała się, jak Jacob sypie do kawy cukier i dodaje solidną porcję mleka.

- Nie dokończyliśmy rozmowy o twoim ojcu. Zauważyła, że mocniej zacisnął palce, którymi obejmował filiżankę.

- To był napad z bronią w ręku - rzekł, odstawiając kawę na blat, jakby zląkł się, że zmiażdży filiżankę w dłoni. - Tamtego wieczoru ojciec pracował sam. Nagle weszło dwóch gości. Jeden zabrał się do czyszczenia kasy,

a drugi strzelił do ojca. Przeżyłby, ale zanim przybyła pomoc, było już za późno, żeby go uratować.

Fran poczuła ciarki na plecach.

- Tak mi przykro. To musiał być dla was okropny cios.

- Owszem - przyznał, podnosząc filiżankę i przyglądając się jej zawartości. - Ciężko to przeżyliśmy.

- Czy to dlatego zostałeś policjantem?

- To był jeden z powodów - odparł, a po chwili milczenia zapytał: - Zastanawiałaś się nad moją propozycją?

- Jaka? - Wiedziała, o co mu chodzi i w duchu bała się tej rozmowy od chwili, gdy helikopter zabrał Candi.

- Chodzi o przyjmowanie pacjentów godzinę lub dwie dziennie - odparł, nie odrywając od niej wzroku.

Fran w końcu zmusiła się, by popatrzeć w inną stronę. Zaczęła bawić się kawałkiem ciasta na talerzu.

- To nie takie proste, sierżancie...

Nie odzywał się - sprytna taktyka, jeżeli chciał ją zmusić do mówienia. Fran obejrzała wystarczająco dużo seriali kryminalnych, by wiedzieć, jak to działa. Początkowo będzie uparcie milczała, ale w końcu cisza stanie się dla niej tak nieznośna, że pęknie. A Jacob będzie stał z założonymi rękami, opierając się o blat, i w milczeniu przyglądał się jej z tą swoją postawą, która mówi: „Nigdzie mi się nie spieszy”. Wtedy ona wyrzuci z siebie cały ból, cały wstyd, że nie potrafi sobie poradzić, strach przed przeżyciem tego wszystkiego jeszcze raz. I powrócą koszmary i ataki paniki, i dni, kiedy nie będzie mogła zwlec się z łóżka, a co dopiero wyjść z domu.

Fran wyprostowała plecy i spojrzała Jacobowi w oczy.

- Nie jestem gotowa angażować się w coś takiego, zanim nie przemyśle pewnych spraw. Jestem tutaj na wakacjach i przy okazji mam zamiar pomóc siostrze. Nawet nie miałam okazji odwiedzić jej w szpitalu. Pelican Bay będzie musiało poradzić sobie beze mnie, sierżancie Hawke. Mam teraz inne priorytety.

Fran była dumna ze swojej przemowy. Jej słowa zabrzmiały pewnie i mocno, tak bardzo w stylu „cokolwiek powiesz, to i tak nie wyprowadzi mnie z równowagi”. Wtedy on okrążył kuchenną wyspę i stanął tuż przed Fran, przekraczając granicę jej strefy intymnej. Z każdym płytkim oddechem jej piersi niemal dotykały jego klatki piersiowej. Każdy nerw był napięty. Jej nozdrza wypełnił męski zapach, ciepło jego ciała, a także woń potu, która co prawda powinna była ją odrzucić, a jednak zadziałała dokładnie odwrotnie. Powędrowała wzrokiem ku jego wargom i oblizwała usta, w razie gdyby zapragnął ją pocałować. Serce waliło jej jak młot pneumatyczny. Pocałuje ją?

- Chcę, żebyś się nad czymś zastanowiła - powiedział szorstkim tonem.

- T-tak?

Lodowate spojrzenie przyszpiliło ją do ściany.

- Mam nadzieję, że kiedy będziesz jechała w odwiedziny do swojej siostry, w każdym miasteczku, które miniesz po drodze, będzie na miejscu wykwalifikowana pomoc medyczna, w razie gdyby coś ci się przytrafiło.

Fran zamrugała pierwszy raz od dobrej minuty.

- A co? Zamierzasz wybrać się na przejażdżkę tym swoim motocyklem? - zapytała wyzywająco.

Przewiercał ją wzrokiem, ale nie poddała się i wytrzymała to spojrzenie. Serce waliło jej jak szalone. Minęła cała wieczność, zanim w końcu Jacob postąpił krok do tyłu. Podniósł kapelusz policyjny ze stołka i włożył go na głowę tak, że rondo niemal zasłoniło mu oczy.

- Jeżeli nawet, to będę na ciebie uważał - odparł z nutą drwiny w głosie.

Fran zacisnęła usta i patrzyła, jak Jacob oddala się od niej. Poczowała ukłucie w żołądku, kiedy drzwi zamknęły się za jego plecami.

Rufus rozejrzał się dokoła z psim zdziwieniem, a potem zawył tak żałośnie, że Fran rzuciła mu gniewne spojrzenie i warknęła:

- Nawet nie zaczynaj.

A kiedy Rufus zrobił minę zbitego psiaka, ukłękła na podłodze, objęła jego włochatą szyję i mocno go przytuliła.

- Przepraszam - powiedziała, zastanawiając się, dlaczego nagle zachciało jej się płakać.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- O rany, są cudowni! - wysapała Fran, spojrzawszy przez szybę oddziału noworodków na maleńkiego Timmy'ego i tyciego Joshuę.

- Timmy nadal ma problemy z samodzielnym oddychaniem - powiedziała Caro. - Nie wiedzą, czy nie trzeba go będzie zawieźć do Sydney, ale póki co jest dobrze. Joshua jest zdrowy. Dzisiaj go karmiłam. - Westchnęła ciężko i dodała: - Chciałabym już zabrać ich do domu.

Fran wzięła siostrę pod rękę.

- Wytrzymaj, Caro - powiedziała. - Teraz musisz się skupić na zdrowiu bliźniaków. W domu wszystko gra.

- Tak, dzięki tobie - odparła Caro, prowadząc Fran do swojego pokoju na oddziale. - Spotkałam Jane Pelleri w bufecie. Uratowałaś małej Elli życie. Wszyscy o tym mówią, i o tym, jak pomogłaś Candi Brode-rick po upadku z konia. Kiedy ostatni raz rozmawiałyśmy, nawet słowem się nie zająknęłaś. Dlaczego?

- Nie chciałam was martwić. - I dlatego, że to wcale nie ja ocaliłam życie Elli, dodała w duchu. - Dopiero urodziłaś, a to wszystko wydarzyło się tak szybko.

Caro posłała Fran spojrzenie, które mówiło: „To ja jestem starsza i mądrzejsza”.

- Czy to ci nic nie mówi?

- Słuchaj, jeżeli zamierzasz dołączyć do misji sierżanta Hawke'a mającej na celu skłonienie mnie do osiedlenia się w Pelican Bay i podjęcia pracy, to zapomnij. Niedługo zostanie tu skierowana odpowiednia osoba i nie będę nią ja.

- Ale co, jeśli to ty jesteś tą odpowiednią osobą, Fran?

Fran skrzywiła się.

- Jeżeli jestem, wtedy to miasto - jak to mówią w westernach - będzie zbyt duże dla nas dwojga.

Caro uniosła brwi. Jej oczy zalśniły.

- Aha, czyli w samo południe szykuje się pojedynek z sierżantem, co?

- Nie pamiętam już, kiedy miałam do czynienia z bardziej irytującym facetem. Działa mi na nerwy. Myślę, że on to robi celowo. Dowiedziałam się, że niedawno stracił matkę i poczułam się jak idiotka przez to, że narzeczczalam wtedy na niego za to, że tak mnie zgasił. Okazało się, że odebrał telefon ze szpitala i dlatego tak pędził, ale niby skąd ja miałam o tym wiedzieć? Słowem nie wspomniał. Żadne z nas się nie odezwało. Przepraszyłabym, ale on nic nie powiedział. A potem przyszedł na kawę, stał tak i przez niego czułam się skrępowana. Nie potrafię z nim wygrać. Nie wiem, dlaczego on jest taki... taki wnerwiający!

- Rany, przepraszam. Powinna była powiedzieć ci o jego matce, ale wiesz, bliźniaki trochę mnie rozkojarzyły.

- Wiedziałaś? - Fran gapiała się na siostrę.

- Przykro mi. Beryl mówiła, że Jacob nie chciał tego rozgłaszać. Myślałam, że aż do wczoraj jedynymi osobami, które wiedziały, byli Beryl i Jim.

- Mogłaś mi powiedzieć. Zrobiłam z siebie totalną kretynkę.

- Ach... - westchnęła Caro.

Fran wbiła w siostrę świdrujące spojrzenie.

- Co miało oznaczać to westchnienie?

- Jakie westchnienie?

- Wiesz, jakie. Tak jakbyś mówiła: „Siostra, ja wiem coś, czego ty nie wiesz”.

- Korona by ci z głowy spadła, gdybyś przyjęła propozycję Jacoba, co?

- Skąd wiesz o jego propozycji?

Caro pokazała palcem dwa małe niebieskie, ubrane w sportowe kurtki pluszowe misie, które siedziały na szafce obok bukietu kwiatów.

- Stąd, że Nick wpadł na niego na dole, mniej więcej godzinę przed twoim przyjściem. Karmiłam maluchy, więc nie rozmawiałam z nim. Jechał do Sydney do sądu i wpadł przejazdem. Nick powiedział mi, że zdaniem Jacoba powinnaś zacząć przyjmować w przychodni. Nie uważasz, że to świetny pomysł? Przecież nikt ci nie każe pracować na pełen etat. Dzień, dwa w tygodniu po kilka godzin, najwyżej cztery, dopóki nie znajdą kogoś na twoje miejsce.

Fran wyjrzała przez okno, zgarbiona.

- Nick powiedział mu, co się stało? - zapytała, gdy już zdołała wydobyć z siebie głos.

- Oczywiście, że nie! - Caro sprawiała wrażenie urażonej. - Obietnica to obietnica, nawet jeśli obydwójce z Nickiem uważamy ją za wyjątkową głupią.

- Dla mnie nie jest głupia. Chcę odbudować życie po swojemu tak, żeby nikt się nade mną nie litował.

- Fran, Jacob to glina. Pewnie wiele razy musiał radzić sobie z tym, przez co ty przechodzisz. Założę się, że mnóstwo razy jacyś narkomani okładali go pięściami i kopali, atakowali nożami albo, co gorsza, grozili bronią. Myślę, że jest jedyną osobą w całym miasteczku, która zrozumie, przez co przeszłaś.

- Nikt nie zrozumie, Carolyn - rzekła gorzko. - Tego dnia, kiedy Scott Draper mnie zaatakował, zmieniłam się i nigdy już nie będę tamtą osobą. Nic mi nie pomoże.

- Pozwalasz mu wygrać, nie widzisz tego? Pozwalasz, żeby naćpany narkoman, który nawet nie wiedział, co robi, pozbawił się radości życia.

- Nie pouczaj mnie, co powinnam robić. Nie było cię tam. Nie wiesz, jak to jest.

- Musisz zostawić przeszłość za sobą, Fran - nalegała Caro. - Przez trzy miesiące, kiedy dochodziłaś do siebie, rodzice nie zajmowali się niczym innym jak tylko tobą. Czas, żebyś sama zrobiła coś dla siebie. Musisz włożyć w to trochę wysiłku. Wiem, że jest ci ciężko, kochanie, ale jestem z tobą i całe Pelican Bay stanie za tobą, jeśli tylko pozwolisz. Wiem, że tak będzie.

Fran wiedziała, że część tego, co usłyszała od siostry, było prawdą. Rodzice przeżyli trudne chwile, zastanawiając się, czy po miesiącu wymuszonej śpiączki ich najmłodsza córka będzie kiedykolwiek w stanie samodzielnie oddychać, nie wspominając już o kontynuowaniu zawodu lekarza. Pomagali jej pod czas długiego i żmudnego procesu rehabilitacji, każdego dnia zawozili ją na fizjoterapię i niestrudzenie wspierali, aż w końcu odzyskała niezależność.

Caro wcale nie było łatwiej, mieszkała bowiem z mężem wiele kilometrów dalej, lecz mimo to podróżowała w tę i z powrotem podczas pierwszych męczących miesięcy ciąży, by odwiedzać Fran i pomagać w miarę swoich możliwości.

- Wiem, że w pewnym momencie będę musiała zrobić następny krok - rzekła Fran, podchodząc do łóżka Caro. - Wiem, że muszę zostawić przeszłość za sobą. Po prostu muszę. Ale boję się tego. - Pozwoliła, by Caro objęła jej głowę złożoną na jej miękkiej piersi i westchnęła. - Boję się, że nie będę tą samą lekarką, którą wcześniej byłam. - Podniosła głowę i spojrzała siostrze w oczy. - Prawie straciłam to dziecko, Caro. To nie ja ją uratowałam, to Jacob. Zamarłam z przerażenia i gdyby nie on... - Przeszedł ją dreszcz. - Tak bardzo się boję, że to się powtórzy i że nikt mi wtedy nie pomoże - dodała szeptem.

Caro pogładziła Fran po włosach i mocno przytuliła.

- Wiem, że się boisz, kochanie. Powolutku, okej? Dopiero po dłuższej chwili Fran ponownie uniosła głowę.

- Lepiej już pójdę. Rufus pewnie do tej pory zjadł całą sofę i schrupał stół.

Caro uśmiechnęła się.

- Myślę, że on zaczyna się w tobie zakochiwać. Fran wstała z łóżka, podniosła torebkę i przetrząsnęła ją w poszukiwaniu kluczy.

- No tak, pies to świetny towarzysz i w ogóle, ale chyba wolałabym zamiast niego jakiegoś porządnego faceta.

- Nie miałam na myśli Rufusa.

Palce Fran zacisnęły się wokół pęku kluczy. Poczowała się, jakby ktoś ścisnął w dłoni jej serce.

- Wydaje ci się, Caro - odparła, unikając wszystkowiedzącego wzroku siostry. - Sierżant jest po prostu uprzejmy. Uważa mnie za znudzoną mieszczkę, która nie ma nic lepszego do roboty, jak tylko wylegiwać się na słońcu w przerwach pomiędzy szaleństwami na nartach.

- Fran, on naprawdę jest niezłą partią - rzekła Caro. - W dodatku jest znacznie przystojniejszy niż faceci, z którymi się spotykałaś.

Fran usiłowała przypomnieć sobie wszystkich swoich dawnych chłopaków, ale pamiętała ich twarze jak przez mgłę. Pomyślała, że o czymś to świadczy, skoro nie umiała nawet odtworzyć w myślach ich wyglądu, zwłaszcza że chłopaków było raptem trzech, a spośród nich tylko z jednym związała się na poważnie.

- Okej, Jacob Hawke jest całkiem w porządku - odparła lekkim tonem.

- Ale jest facetem z kategorii dawców organów, co mu odbiera punkty.

- Dawców organów?

- Pracownicy pogotowia określają w ten sposób motocyklistów - wyjaśniła Fran. - Kiedy pracowałam w szpitalu i przygotowywałam się do specjalizacji, to za każdym razem, gdy miałam zajęcia z neurochirurgii, obiecywałam sobie, że nigdy nie umówię się z motocyklistą. Podczas wypadku na motorze bardzo często dochodzi do niebezpiecznych urazów głowy.

- Może on lubi odrobinę ryzyka - zauważyła Caro, a jej oczy zaśmiały szelmowsko. - Moim zdaniem wygląda nieziemsko seksownie w tym swoim mundurze, a kiedy ma na sobie czarny skórzany strój...

- Przestań, dobrze? - Fran wyciągnęła przed siebie dłoń niczym znak stopu. - W tej chwili nie interesują mnie mężczyźni, zapomniałaś już?

Caro posłała jej znaczące spojrzenie.

- Fran, ciebie nigdy nie interesowali mężczyźni. Całą młodość spędziłaś na nauce. A potem, kiedy już zostałaś dyplomowaną lekarką, praca zawsze była dla ciebie ważniejsza. Przelotny romans z gliniarzem pomoże ci odzyskać wiarę w siebie.

- Mam nadzieję, że nie kazałaś Nickowi powiedzieć tego samego sierżantowi.

- Jakżebyś śmiała? - odparła Caro z promiennym uśmiechem.

Następnego dnia, kiedy Fran poszła do sklepu, spotkała na zakupach Jane Pelleri. Ella szczęśliwie wróciła już do domu. Furtkę prowadzącą do basenu naprawiono, a życie wróciło na zwykłe tory. Jestem tak inna od nich wszystkich, pomyślała Fran, słuchając Jane, która opowiadała o niespodziance, jaką chłopcy urządzili na powitanie swojej siostrzyczki.

Tego dnia zamiast Beryl Hadley kasę obsługiwała szczupła - właściwie koścista - szesnastoletnia dziewczyna. Wyłożywszy produkty na ladę, Fran uśmiechnęła się do niej, ale kasjerka nawet na nią nie spojrzała i mechanicznie zabrała się za skanowanie kodów. Była ubrana w czarne obszerne ciuchy - miała bluzkę z długim rękawem, w której, pomimo pracującej klimatyzacji, można było się ugotować.

- Cześć, nazywam się Fran, jestem siostrą Carolyn Atkins - rzekła Fran, przerywając ciszę. - Beryl ma dzisiaj wolne?

- No. - Dziewczyna zeskanowała paczkę karmy dla psów.

- Jak się nazywasz? - zapytała Fran chwilę później. - Chyba cię tu wcześniej nie widziałam.

- Tara - odparła nastolatka znudzonym głosem, przesuając pod czytnikiem ostatnią rzecz. - Gotówka czy karta?

Fran podała jej banknoty. Kiedy dziewczyna wydawała resztę, Fran zauważyła na jej nadgarstku kilka cienkich białych blizn. Tara obciągnęła rękaw i kościstym biodrem zamknęła szufladę kasy.

- Miło było cię poznać, Taro - rzekła Fran i podniosła torby z zakupami.

- No - odparła dziewczyna, patrząc w inną stronę. - Wzajem.

Marszcząc brwi, Fran wychodziła właśnie ze sklepu, gdy nagle podszedł do niej mniej więcej sześćdziesięcioletni mężczyzna.

- Doktor Nin - odezwał się. - Miło mi panią poznać. Nazywam się Nigel McLeod, jestem burmistrzem.

- Miło mi, panie McLeod - odparła Fran, zonglując torbami z zakupami, by uścisnąć wyciągniętą do niej rękę.

- Chciałem zapytać, czy nie ma pani ochoty zwiedzić dzisiaj naszej przychodni. Wszyscy się tu emocjonujemy tym, jak spektakularnie przejęła pani pałeczkę, że się tak wyrażę.

Fran zrobiła krok do tyłu.

- Ale ja wcale...

- To niesamowity zbieg okoliczności - mówił jak gdyby nigdy nic. - Widać to było pisane. Czekamy, rozpaczliwie potrzebując lekarza, bo pojawiły się pewne wątpliwości wokół dyplomu internisty, który początkowo miał do nas przyjechać, aż tu nagle pani spada nam z nieba. Cud, nie inaczej! Odpowiedź na nasze modlitwy, bo, niech mi pani wierzy, całe miasto modliło się o kogoś tak kompetentnego jak pani. To, jak pani ocaliła życie tej dziewczynki, a potem pomogła córce Jima. Ortopeda w szpitalu powiedział, że Candi miała szczęście, że nie straciła nogi. Jest pani bohaterką Pelican Bay. Założę się, że po tym wszystkim otrzyma pani nominację do tytułu obywatela roku.

Fran posłała mu niewyraźny uśmiech.

- Panie McLeod, jestem wdzięczna za propozycję, ale nie planuję...

- Oczywiście wiem, że powinienem zacząć inaczej, ale w kolejce czeka już kilkoro pacjentów. Zapisali się na wizytę, jak tylko dowiedzieli się, że będzie w mieście lekarz. Linda Brew jest naszą recepcjonistką. Cały rano odbiera telefony. Ach, żebym to ja miał takie powodzenie w wyborach do rady!

Uśmiech Fran zamienił się w grymas. Zdała sobie sprawę, że wykpienie się z tego ambarasu będzie od niej wymagało więcej elastyczności niż ćwiczenia na

trapezie. Pomyślała o pełnych nadziei pacjentach, którzy wierzą się niecierpliwie na poczekalnianych krzesłach. A jeżeli któryś z nich, jak matka Jacoba, rozpaczliwie potrzebuje ulgi w cierpieniu? Jak mogłaby odmówić? Żaden nafaszerowany narkotykami szalowiec nie wpadnie do gabinetu - w końcu to Pelican Bay, cicha nadmorska miejscina, a nie centrum Melbo-

urne. Przyjdzie jej zmierzyć się co najwyżej z ospą wietrzną, przeziębieniami, czasem jakąś raną szarpaną, czy nawet złamanymi kośćmi. Może powinna spróbować, tylko ten jeden raz, na zasadzie przysługi dla miasta?

- Niech pan posłucha, panie McLeod. Niczego nie mogę obiecać, ale skoro są już zapisani pacjenci...

- No, to czekamy na panią - zerknął na zegarek - powiedzmy o wpół do jedenastej, hm?

Pokiwała z rezygnacją głową i westchnęła.

- Niech będzie wpół do jedenastej.

Włożyła zakupy do bagażnika. Dopiero kiedy usiadła za kierownicą i włączyła silnik, zobaczyła mandat zatknięty za wycieraczkę. Wciągnęła powietrze i wysiadła, wyrwała mandat z za wycieraczki i zerknęła na nazwisko wystawiającego. Nie potrafiła odczytać odręcznego pisma, ale bez kłopotu rozszyfrowała zamaszyste H i K w nazwisku. Zagotowało się w niej ze złości.

Zawiozła zakupy do domu i ruszyła na posterunek z postanowieniem rozmówienia się z sierżantem.

- Gość do pana, sierzancie - oznajmił Nathan Jeffrey przez interkom.

- Kto? - zapytał Jacob, zdejmując lód z oka.

Skrzywił się, stwierdziwszy, że z rozciętego policzka nadal płynie krew. Nie przewidział, że Wayne Clark tak nerwowo zareaguje na pouczenie w sprawie łysych opon.

Jacob wiedział, że niektórzy mieszkańcy miasteczka, których ziemia znajduje się dalej od morza i którzy usiłują się z niej utrzymać, nie mają

lekko. Deszcz, który padał nad zatoką, niekoniecznie docierał w głąb lądu. Podobnie jak Jim Broderick, również Wayne stracił żonę, ale nie zabrała mu jej śmierć, lecz inny facet. Kobieta zostawiła Wayne'a z dwójką dzieci: synem, notowanym za drobne przestępstwa, oraz córką, która w szkole zajmowała się głównie wagarami.

- Doktor Nin - wyjaśnił Nathan.

Jacob jęknął w duchu. Tylko tego mu teraz brakuje.

- Wpuść ją - odparł, ponownie przykładając lód do pulsującego oka.

Fran weszła do gabinetu i zmarszczyła brwi, widząc twarz Jacoba ukrytą za paczką z lodem.

- Co się stało? - zapytała.

Rzucił jej jednym okiem stalowe spojrzenie.

- Nic, co by cię mogło obejść, skoro tak się u-pierasz, żeby nie wracać do medycyny.

- Znalazłeś sposób, żebym nie mogła odmówić, prawda?

Jednooki pirat pochylił się nad biurkiem.

- Wnoszę, że poznałeś naszego pracowitego burmistrza.

- To bez wątplenia twoja sprawka.

- Nie miałem z tym nic wspólnego.

- Nie wierzę.

Wyprostował się i mocniej przycisnął lód do oka.

- To miasto potrzebuje lekarza, ale jeżeli uważasz, że nie podołasz temu zadaniu, nie ma sprawy. Nie potrzeba nam tu kogoś, kto ma tak mało wiary w siebie.

Fran cała się zjeżyła.

- Przyjmę pacjentów, owszem, ale tylko ten jeden raz i tylko dlatego, że ludzie już na mnie czekają, a nie dlatego, że ty tak sobie wymyśliłeś.

- Mówię ci, że nie ja to wymyśliłem. - Odłożył paczkę z lodem na biurko.

Próbowała zgromić go wzrokiem, ale wciąż zerknęła na ranę na jego policzku, tuż pod okiem, z której ciekła strużka krwi. Będzie miał solidnego siniaka.

- Coś sobie zrobił? - zapytała.

- Uroki pracy. Przewróciła oczami.

- Trzeba to obejrzeć. Mogą się przydać szwy. Odchylił się w fotelu.

Skórzane obicie siedzenia

zaskrzypiało na znak protestu.

- To tylko draśnięcie - odparł, przykładając lód do twarzy. - Po co chciałaś się ze mną zobaczyć?

Fran rzuciła mu na biurko mandat.

- Kiepski sposób na przekonanie mnie, żebym tu została. Nie spodziewałam się, że będziesz tak drobiazgowy.

- Popełniłaś wykroczenie, płacisz mandat. Proste. Zgrzytnęła zębami, chwyciła mandat, podarła go na strzępy, a potem rozsypała pozostałości po całym biurku.

- Proszę mnie więc spisać, sierżancie Hawke - odezwała się wyzywająco.

Jacob odłożył lód i wstał, odsuwając fotel.

- Jesteś absolutnie pewna, że zwracasz się do właściwej osoby? - powiedział, nie ustępując przed jej gromiącym spojrzeniem.

- A co, może jest inaczej?

- Nie jestem jedynym policjantem w tym mieście. Uniosła brodę, cały czas świdrując go wzrokiem.

- Może i nie, ale na pewno nie pracuje tu drugi J. Hawke.

- Owszem, nie pracuje. Ale mamy tu niejakiego Johna Hanka.

Otworzyła szeroko oczy, po czym powiodła spojrzeniem w kierunku zniszczonego mandatu na biurku Jacoba.

- Aha.

- Mogę go poprosić, żeby pokazał ci kopię mandatu - zaproponował Jacob. - Niemniej, jeżeli zaparkowałaś w niedozwolonym miejscu, musisz zapłacić.

Powoli przeniosła wzrok z powrotem na jego twarz i przesunęła językiem po ustach.

- Przepraszam - powiedziała. - Po prostu, kiedy zobaczyłam J i H, założyłam, że to twój podpis.

- Łatwo się pomylić - przyznał.

Znowu spojrzała na podarty mandat. Wzięła głęboki oddech i zrobiła krok do przodu.

- Posprzątam.

Jacob chwycił ją za rękę.

- Daj spokój.

Fran spojrzała w jego niezwykle błękitne oczy. Serce przestało jej bić na ułamek sekundy. Zerknęła na biurko: jego dłoń na jej dłoni, jego ciepłe palce... Odplynęła. Gdyby tak leżała przygwożdżona jego silnym ciałem, gdyby czuła jego ciepłe, doskonale ukształtowane usta wpijające się w jej

wargi, gdyby jego dłonie obejmowały jej piersi, a usta zasypywały lawiną wilgotnych pocałunków, muskały, a ona wiłaby się z rokoszy...

- Y... muszę już iść - powiedziała, starając się wysunąć palce spod jego dłoni. O, tak dobrze.

- Zaczekaj. - Nacisk dłoni był stanowczy, ale nie brutalny.

Jacob Hawke wyglądał na faceta, który potrafił wszystko - na przykład sprawić, by przychodziły jej do głowy myśli, których nie powinno tam być. Niebezpieczne myśli, gorące jak rozpalony piec myśli o pocałunkach i zwinnych dłoniach...

- Zapomnij o tym mandacie - mruknął. - Załatwię to.

Spojrzała mu w oczy. Miała wrażenie, jakby jego otoczone ciemnymi obwódkami źrenice paliły na popiół powierzchnię jej ust. Bóg jeden wie, co by się wydarzyło, gdyby jego usta zetknęły się z jej wargami.

- To miło z twojej strony - odezwała się. - Ale mogę zapłacić ten mandat, naprawdę. Takie jest prawo, jak mówisz. Owszem, przekroczyłam dozwolony czas parkowania, co prawda ledwie o parę minut, ale to dlatego, że jestem przyzwyczajona do parkometrów w mieście, a tutaj jest chyba trochę inaczej...

Zgubiła wątek. Rozcięcie na jego policzku przestało krwawić, ale wokół oka pojawiła się opuchlizna, która zaczęła odznaczać się na opalonej skórze.

- Chcesz, żebym to opatrzyła? - zapytała. - Przestało krwawić, ale przydałoby się oczyścić ranę, żeby nie wdała się infekcja.

- Nie ma takiej potrzeby - odparł, zabierając dłoń z jej dłoni. - Sam się tym zajmę.

- W porządku. - Poprawiła torebkę na ramieniu i odeszła od biurka na nogach z waty. - Ja... przepraszam, że zajęłam ci tyle czasu.

- Nie szkodzi.

Zapadła cisza, którą przerywało jedynie miarowe odliczanie zegara wiszącego na ścianie za biurkiem. Tik. Tak. Tik. Tak.

- Miałabyś ochotę na drinka dzisiaj po pracy? - zapytał nagle.

- E... słucham?

- Drink. W pubie. Po pracy. Ty i ja, dwie szklanki, zazwyczaj z odrobiną alkoholu, ale niekoniecznie. Te drinki, znaczy.

- Czy... czy zapraszasz mnie na randkę?

Zarówno jego wyraz twarzy, jak i ton głosu wyrażały pytanie: „Decydujesz się czy nie?”. Drażniło ją to. Ostatnie, czego jej było trzeba, to randka z facetem, którego nawet nie lubiła. Owszem, był atrakcyjny, ale w przeciwieństwie do rówieśniczek jej nie interesowały przygodne znajomości. Mogła sobie tylko wyobrazić, czego będzie od niej oczekiwał pod koniec wieczoru.

Nie zamierzała grać w tę grę. Może sądził, że rozpaczliwie pragnęła randki, bo przez to jej utykanie nikt się z nią nie umawiał? Kiedy wyszła ze szpitala, jakiś robotnik rzucił do niej świńską uwagę, gdy kuśtykała o kulach obok placu budowy. Od tamtej pory zmagала się z poczuciem niskiej wartości, a wszelkie awanse ze strony mężczyzn brała raczej za przejaw współczucia niż autentyczne zainteresowanie. Wyprostowała plecy.

- Tak się składa, że dziś wieczorem jestem zajęta - odparła. Stała, czekając, aż Jacob zaproponuje wieczór następnego dnia, ale się nie doczekała.

Zapadła cisza.

Fran poczuła, jak powoli opanowuje ją gorąco.

-E... to już pójdę - powiedziała. - Czekają na mnie pacjenci.

Skinął bez słowa głową. Skrzyżował ręce na piersi i oparł się o szafkę z aktami.

- Miłego dnia, sierżancie.

Nie odpowiedział ani słowem. Do diabła z nim.

Kiedy zatrzymała auto przed przychodnią i wyłączyła silnik, poczuła, że oblewa ją zimny pot. Spojrzała na swoje dłonie kurczowo ściskające kierownicę i stwierdziła, że kłykcie za moment przebiją jej skórę. Postarała się odzyskać panowanie nad oddechem, wdech, wydech, powoli, myśleć o zwykłych przyjemnych rzeczach - nie pomogło.

Zrobiło jej się gorąco i niedobrze. Miała wrażenie, że cała się lepi. Otworzyła szybę i raptownie zaczerpnęła świeżego powietrza.

Nadal siedząc w aucie, spojrzała na budynek przychodni, podziwiając jego przypominającą wiejski domek architekturę - powinno być to dla niej pociechą, ale niestety nie było. Pomalowany na białą dom zdobił szary pas, a przed wejściem ustawiono odświeżony biały płótek. Pieprzowiec z jednej, a akacja z drugiej strony zapewniały odrobinę cienia. W gałęziach akacji siedziały sroki i zawzięcie o czymś dyskutowały. Przychodnię w Pelican Bay trudno byłoby porównać pod względem panującego w niej i wokół niej spokoju do szalonego i zatłoczonego Melbourne, a jednak serce Fran bilo w rytmie karabinu maszynowego.

Musiał minąć kilka minut, zanim w końcu otworzyła drzwi i wysiadła. Nie spieszyła się. W myślach pokonywała trasę do drzwi wejściowych.

Da radę. Będzie ciężko, ale uda się.

W końcu od czegoś musi zacząć. Tutaj będzie jej o wiele łatwiej niż w zatłoczonym szpitalu.

Kiedy tak stała, czekając, aż opanuje drzenie nóg na tyle, by pokonać ścieżkę prowadzącą do wejścia do przychodni, zobaczyła, jak zza rogu z zawrotną prędkością wypada radiowóz, migając niebieskim kogutem i wyjąc na cały regulator, mija budynek i zostawia po sobie chmurę pyłu.

Światła i przeszywający sygnał wozu ochotniczej straży pożarnej, który ułamek sekundy później wyłonił się zza tego samego zakrętu, tyle że ze znacznie mniejszą prędkością, w żaden sposób nie pomogły skołatanim nerwom Fran. W jej głowie eksplodowały wspomnienia, jaskrawe światła oślepiły ją, słyszała podniesione głosy i wrzaski. A potem kroki na korytarzu i skrzypiące buty pielęgniarek.

Przycisnęła dłonie do piersi, uciskając serce, które wrywało się z klatki. Mrugnęła, usiłując przegnać sprzed oczu prześladowające ją obrazy. Oddychać. Musi tylko oddychać. Za chwilę wszystko minie.

-Doktor Nin? - usłyszała kobiecy głos. Otworzyła oczy i jak przez mgłę dojrzała kobietę

w średnim wieku, która stała na chodniku i przyglądała jej się z troską.

-Przepraszam- powiedziała, opanowując nudności. - Okropnie boli mnie głowa. Nie będę w stanie przyjąć pacjentów. Przykro mi...

Zataczając się, wsiadła z powrotem do samochodu. Recepcjonistka podbiegła do auta.

- Czy na pewno może pani prowadzić? - zapytała, marszcząc brwi. - Jeżeli pani chce, poproszę, żeby ktoś panią odwiózł.

- Nie, wszystko dobrze. To niedaleko. Nie prowadziłabym, gdyby nie to, że... Przepraszam... muszę jechać.

- Proszę na siebie uważać - powiedziała Linda Brew. - Pacjenci rozumieją. Zapiszę wszystkich na jutro. Może być na jutro?

Fran nie miała siły przechodzić tego wszystkiego jeszcze raz. Wymamrotała jakąś odpowiedź i ruszyła. Pojechała do domu tak powoli, jak to tylko możliwe bez zwracania na siebie uwagi.

Rufus przywitał ją zdziwionym spojrzeniem. Zmierzyła mu sierść trzęsącymi się dłońmi.

Niczym zranione dziecko dosłownie wpełzła do ciemnego pokoju, ułożyła się w pozycji embrionalnej i kołysząc się, zaczęła płakać, aż w końcu szloch, który rozdzierał jej piersi, stopniowo ucichł.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kiedy Fran się obudziła, nadal było jasno. Popołudniowe słońce wpadało szparą pomiędzy zasłonami. Rufus stał przy łóżku, machając ogonem i patrząc na nią błagalnym wzrokiem.

- Pewnie chciałbyś na spacer, co? - zapytała, siadając na łóżku i odgarniając z twarzy płataninę włosów.

Rufus zaszczeakał i zaczął tak mocno merdać ogonem, że stracił z szafki nocnej nowo oprawione zdjęcie bliźniaków.

- No to chodź - powiedziała, wkładając buty i krzywiąc się, gdy w nodze odezwał się ból.

Spacerując z Rufusem po plaży, złapała się na tym, że idzie dalej niż zwykle, ku sadzawkom. Wytłumaczyła sobie, że to ze względu na Rufusa, który przez większość dnia siedział zamknięty w domu. Podniosła głowę i wypatrzyła dom Jacoba.

Budynek wybudowano tak, że zasłaniały go drzewa, lecz mimo to udało jej się dojrzeć rząd okien wychodzących na zatokę. Osłoniła oczy przed słońcem i skupiła wzrok w poszukiwaniu jakiegoś ruchu. Delikatna bryza kołysała lekko drzewami, więc Fran była w stanie zobaczyć drewnianą konstrukcję domu, ale niewiele ponad to.

- Czy to mnie szukasz? - odezwał się za nią głos.

Serce Fran zamarło. Odwróciła się na pięcie i straciła równowagę. Zachwiała się i byłaby upadła, gdyby nie stalowy uścisk Jacoba, który w porę złapał ją za ramię. Spojrzał na nią z góry. Jego ciało znalazło się tak blisko niej, że niemal czuła jego ciepło.

- A-aleś mnie przestraszył! - Odetchnęła ciężko. Oczywiście nie miało znaczenia to, że Jacob był ubrany jedynie w spodenki do biegania i buty ani to, że zaciskał palce na jej ramieniu.

- Przepraszam - odparł, zabierając rękę. - Ale przyglądałaś się temu miejscu tak uważnie, aż pomyślałem, że może chcesz się ze mną widzieć.

Fran potarła ramię. Nadal czuła mrowienie w miejscu, w którym dotykała ją jego ręka.

- Nie, ja... wyszłam na spacer. Obrzucił ją badawczym spojrzeniem.

- Ból głowy minął?

Fran ścisnęła usta i wytrzymała jego wzrok.

- Skąd wiesz, że bolała mnie głowa?

- Od Lindy Brew. Wpadłem do przychodni i dowiedziałem się, że odwołałaś wszystkich pacjentów. To pewnie przez ten ból głowy.

- Owszem.

- Wiesz - nadal nie spuszczał z niej oczu - jeśli; masz ochotę zażywać kąpieli słonecznych, może powinnaś pojechać w inne miejsce, gdzie nikt nie wie, że jesteś lekarzem. Tutaj, jeżeli wywiniesz taki numer o jeden raz za dużo, zrazisz do siebie mnóstwo ludzi.

- Może faktycznie pojedę gdzie indziej - odparła sztywno i odwróciła się, by zawołać Rufusa, ale psiak gdzieś przepadł. - Rufus! - krzyknęła i

przeczesła wzrokiem plażę. Jej tętno gwałtownie przyspieszyło. - Gdzież on się podział? Był tu przed chwilą.

- Musi być w pobliżu.

- Obyś miał rację. - Zmarszczyła brwi. - Caro mnie zabije, jeżeli coś się stanie temu psu.

Jacob zagwizdał, odczekał chwilę, a potem znowu gwizdnął.

- Słyszałeś? - Fran miała wrażenie, że słyszy szczekanie.

- Tak. - Jacob wyciągnął do niej rękę. - Chodź, chyba wiem, gdzie on jest.

Fran zawahała się, zanim podała mu rękę. Kiedy jego palce splotły się z jej dłonią, niemal podskoczyła. Przecież ze swoim ostatnim chłopakiem trzymali się za ręce prawie bez przerwy, a jednak nigdy nie czuła tego co teraz. Myślała już o tym wcześniej i zastanawiała się, że skoro dotyk Jacoba działa na nią w ten sposób, to co by się, u diabła, stało, gdyby ją pocałował?

- Za tym osuwiskiem znajduje się nieduża jaskinia- powiedział, pomagając Fran wspiąć się na skały.

- Myślisz, że Rufus tam pobiegł?

Jacob puścił jej rękę i pokazał na trawiastą podstawę klifu.

- Moim zdaniem Rufus wbiegł do jaskini za królikiem.

- Jak go stamtąd wyciągniemy?

- Jeżeli wszedł zbyt głęboko do jaskini, mógł się zaklinować: Diabli wiedzą, w jakim stanie znajdują się te groty. Zawołaj go jeszcze raz.

Fran zawołała Rufusa kilka razy, rzucając Jacobowi przestraszone spojrzenie.

- Może po prostu nas nie słyszy?

Jacob zaczął przedzierać się przez busz. Mięśnie jego pleców i ramion pracowały pełną parą pod płaszczem lśniącej opalanej skóry. Fran nabrała ochoty, by musnąć ją palcami i przekonać się, czy w dotyku jest tak samo zachwycająca, jak wygląda.

- Słyszałaś?

Spojrzała na niego pustym wzrokiem, w myślach nadal badając dłonią jego biodra.

- Na pewno tam jest. Dasz sobie radę przez chwilę? Przyniosę latarkę i sprzęt.

Pobiegł z powrotem na plażę, a potem ścieżką do domu, aż w końcu zniknął jej z oczu. Fran pochyliła się i zajrzała do grotty.

- Rufus! - zawołała.

Jacob wrócił w mgnieniu oka, taszcząc sprzęt. Wbił się w kombinezon i założył kask. Rozwinął kawałek liny i przymocował ją do drzewa nieopodal wejścia do jaskini. Fran wzdrygnęła się na samą myśl o pająkach i lepkiej pajęczynie.

- Daleko nie dotrę. - Jacob przyczepił drugi koniec liny do zamka w kombinezonie.

Z jednej strony Fran było wstyd, że pies Caro narobił tyle kłopotu, ale z drugiej z przyjemnością oglądała Jacoba w akcji. Pociągała ją ta jego „męska męskość”, brak strachu przed kurzem i brudem, przed nieznanym, determinacja, byle wykonać zadanie bez względu na koszt. Przypuszczała, że tak go wyszkolono. Wiedział, co robi. Był opanowany i spokojny. Godny zaufania, pełny poświęcenia, smakowicie męski i...

Otrząsnęła się ze snu na jawie, gdy Jacob wyłonił się z groty, prosząc o smycz Rufusa. Przykucnęła obok jego długich nóg i podała mu ją.

- Widzisz go?

- Chyba wpadł w szczelinę.

- Jest ranny?

- Trudno powiedzieć. O, teraz widzę go lepiej. Nie, chyba wszystko w porządku. Jest tylko w szoku, jak sędzę. Cześć, staruszk.

Fran odetchnęła z ulgą, kiedy w odpowiedzi usłyszała skomlenie. Jacob wsunął się głębiej, tak że na zewnątrz wystawały mu jedynie stopy, i zapiął Rufu-sowi smycz. Kilka sekund później zarówno człowiek, jak i pies szczęśliwie wyłonili się z groty. Rufus wyglądał na przestraszonego przygodą, a Jacob... Jacob wyglądał bosko, stwierdziła Fran. Z ramion zwisały mu pajęczyny, a prawy policzek zdobiła brudna plama. Rozdrapał sobie ranę pod okiem, która znów zaczęła krwawić. Nigdy w życiu nie widziała czegoś równie zapierającego dech w piersiach.

- Nie wiem jak ci dziękować- rzekła, przejmując od niego smycz Rufusa.

Jacob wytarł pot z czoła przedramieniem.

- Żaden problem.

Oczy Fran powędrowały ku znamieniu na jego ręce.

- Wygląda to na poparzenie.

- Pomagałem kiedyś w gaszeniu pożaru w dolinie. Stary Jack McBride karczował busz. Zapaliło się od iskry. Spadła na mnie gałąź. Nie zdążyłem odskoczyć.

- Trzeba się tym zająć. - Fran zmarszczyła brwi. - W rany oparzeniowe bardzo łatwo wdaje się infekcja, a ty przed chwilą czołgałeś się w brudnej jaskini.

- No, gdybyśmy tylko mieli lekarza w mieście... Próbowałem się dostać, ale Linda powiedziała, że wykipiałś się bólem głowy.

Fran zagryzła wargę i przestąpiła z nogi na nogę. „Ból głowy” ujął w wyraźny cudzysłów, jak gdyby nie wierzył w jej wymówkę.

- Masz pajęczynę na ramionach - dodała.

- Czulem, jak coś mi pełzło po karku, ale to pewnie tylko pył.

Rozebrał się, rozpalając jej zmysły wyłaniającym się powoli z kombi-
nezonu brązowym ciałem. Kurz pokrywał włosy porastające jego klatkę
piersiową, schodzące wąską ścieżką na płaski brzuch i poniżej linii szor-
tów. Wyobrazila sobie resztę i jej serce gwałtownie przyspieszyło.

- Mam tam coś? - zapytał, odwracając się do niej plecami.

Fran przebiegła wzrokiem jego napięte mięśnie, podziwiając po raz ko-
lejny szerokie ramiona i wąską talię.

- E... nie, nic. Odwrócił się z powrotem.

- Dasz radę wspiąć się do mnie do domu? - zapytał. Choćby i nie, to i
tak nie przyznałaby się do tego.

- Pewnie, ale nie ma potrzeby...

-

Posłuchaj, uratowałem psa twojej siostry.

Chyba jesteś mi coś winna, prawda? Możesz opatrzyć moją ranę.

- Chyba faktycznie mogę.

Rozpoczynając wspinaczkę, Fran była świadoma dwóch rzeczy: swojego ślimaczego tempa i tego, że przez całą drogę Jacob miał doskonały widok na jej pupę. Wytrącała ją z równowagi myśl, że skupia na sobie badawczy wzrok faceta. Było w nim coś takiego, co sprawiło, że po raz pierwszy od wielu miesięcy stała się świadoma swojego ciała. Widziała, jak Jacob patrzył na nią na plaży, jak pochłaniał wzrokiem jej cienką spódnice i dopasowaną bluzkę. Czuła, jakby dotykał jej palcami.

Zamyślona, postawiła stopę pomiędzy dwoma kamieniami, ale zachwiała się i kiedy już wydawało się, że stoczy się w dół, poczuła asekurowającą dłoń Jacoba.

- Ostrożnie. - Ciepło jego ciała zadziało jak tarcza ochronna.

Nagle busz przed nimi rozstał się i Fran po raz pierwszy ujrzała dom Jacoba w całej okazałości. Miał wielkie okna i ciągnący się przez całą długość taras, który idealnie nadawał się na leniwe popołudnia, sączenie herbatki, relaks i podziwianie widoków.

- Twój czy wynajmujesz? - zapytała, kiedy zaprowadził ją do środka.

- Kupiłem go. Pomyślałem, że żał nie skorzystać z takiej lokalizacji, nawet jeśli kiedyś się stąd wyprowadzę. Trzydzieści pięć lat temu moi rodzice spędzili w Pelican Bay miesiąc miodowy. Myślę, że gdyby ojciec nie zginął, zamieszkaliby tu na emeryturze. Moja matka uwielbiała przesiadywać na tarasie i słuchać śpiewu ptaków. Kiedy była tu ostatnim razem, udało jej się nawet oswoić srokę.

- Rozumiem, dlaczego tak się jej tu podobało

- rzekła Fran, podziwiając widok. - Tyle tu spokoju.

- Dom wymagał trochę zachodu. Trzeba było wyremontować kuchnię i odświeżyć podłogi.

Fran rozejrzała się z podziwem. Gładką lśniącą drewnianą podłogę zdobiły tu i ówdzie ręcznie robione chodniki. Otwarta kuchnia pyszniła się stalowym sprzętem. Przechodziło się z niej do jadalni i przestronnego salonu, z którego rozpościerał się zapierający dech w piersiach widok na ocean.

- Widać całą plażę.

Jacob przystanął obok niej. Otarł się o nią ramieniem, podnosząc rękę, by pokazać na postrzępione fale.

- Często obserwuję stąd delfiny, a miesiąc temu przepłynęło w pobliżu kilka wielorybów.

- Oo! - powiedziała, patrząc na niego. Serce zabiło jej mocniej, kiedy przeszył ją błękitnym spojrzeniem.

Widziała wyraźnie, jak powędrował wzrokiem ku jej ustom, a potem z powrotem skupił go na jej oczach. Gdzieś tykał zegar, odmierzając ciszę i wypełnione namiętną obietnicą sekundy.

- Hm, twoja rana na policzku znowu krwawi - odezwała się. - Zapomniałam ci wcześniej powiedzieć. Naprawdę powinnam obejrzeć twoją rękę.

- Chyba już dawno powinienem był pozwolić się opatrzyć.

- Mogę to zrobić teraz, to znaczy, jeśli chcesz. To znaczy, jeżeli masz apteczkę... albo coś takiego. - Fran wiedziała, że trajkocze jak smarkula, ale nie mogła się powstrzymać.

W jego oczach pojawiło się rozbawienie.

- Apteczkę trzymam w łazience.

Fran starała się unikać jego odbijającego się w lustrze spojrzenia, a zamiast tego skupić się na umyciu własnych rąk i opatrzeniu jego ręki. Co prawda łazienka była dość przestronna, ale mając Jacoba tak blisko, Fran czuła się skrepowana.

- Może trochę szczypać - ostrzegła, przemywając ranę wodą utlenioną i wycierając zanieczyszczenie.

- Jesteś bardzo delikatna - odezwał się. - Prawie nic nie poczułem.

W ciągu lat pracy w izbie przyjęć Fran wiele razy miała do czynienia z pacjentami z poparzeniami, ale nigdy żaden z nich nie zrobił na niej takiego wrażenia. Jej zmysły pracowały pełną parą, nozdrza wdychały zapach Jacoba, skóra twarzy mrowiła, gdy jego oddech pieścił jej policzek. Z trudem skupiła się na pracy, unikając patrzenia w jego błękitne oczy, nieustannie szukające jej spojrzenia.

Skończywszy opatrywać ranę, wyrzuciła zużyte materiały do kosza i powiedziała:

- No, obejrzyjmy policzek. - Czuła się mniej jak lekarka, a bardziej jak kobieta bliska tego, by się zakochać.

- Czy zostanie mi blizna na całe życie? - zapytał Jacob, przekrzywiając głowę.

- Raczej nie - odparła, nakładając trzęsącymi się rękami odrobinę maści. - Myślałam, że będziesz miał podbite oko, ale tylko trochę spuchło.

- Twardziel ze mnie - skwitował, wstając ze stołka. - W takim miejscu trzeba być twardym, a nie miękkim.

Postąpiła krok do tyłu, usiłując wyrównać oddech.

- Co do ręki, codzienne smarowanie kremem z witaminą E powinno ułatwić sprawę blizny, ale coś mi mówi, że niespecjalnie się tym przejmujesz.

Posłał jej jeden z tych swoich półuśmieszków.

- Jeśli masz ochotę się odświeżyć, na końcu korytarza jest druga łazienka. Spotkamy się w kuchni.

Fran poszła do łazienki, wdzięczna za okazję doprowadzenia do porządku zarówno swego wyglądu, jak i emocji. Umyła ręce, ochlapała twarz i szybko przeczesła palcami włosy. Kiedy wyszła, Jacob siedział już w kuchni z Rufusem. Zdążył zmienić szorty i narzucić na siebie białą bawełnianą koszulę, którą zapiął do połowy, pozostawiając kuszące pole do popisu dla fantazji Fran.

Rufus opróżnił połowę miski z wodą i leżał na chłodnej podłodze, zrełaksowany, jakby mieszkał tu od zawsze.

- Chętnie bym przygarnął jakiegoś psiaka - odezwał się Jacob - gdyby nie to, że tak dużo pracuję. Ale zrobię to, kiedy nadejdzie odpowiednia chwila.

Co miał na myśli? Założenie rodziny? Chciała zapytać, ale pomyślała, że wyjdzie na wścibską. W końcu ledwie go zna.

- Napij się czegoś zimnego? A może kawy lub herbaty?

- Mam ochotę na filiżankę herbaty.

- Może pójdziesz na taras, a ja w tym czasie wszystko przygotuję, hm?

Fran otworzyła rozsuwane drzwi i usiadła na wyłożonej poduchami sofie. Wciągnęła zapach bryzy z nutką morskiej wody. Mniej więcej w poło-

wie ścieżki grupa kakadu sprzeczała się piskliwie o miejsce na gałęzi rozłożystego eukaliptusa. Słońce wisiało nisko nad bezchmurnym horyzontem, kąpiąc świat w barwach pastelu, różu i bladego fioletu. Zapowiadał się kolejny piękny dzień.

Szalone tempo Melbourne nagle wydało się jej tak odległe. Przed wypadkiem Fran nie zauważała, jak zatłoczonym i pełnym wiecznie spieszących się ludzi miejscem było miasto. Stanowiła jego część, uczestniczyła w wyścigu szczurów, zadowalała się namiastką życia towarzyskiego, a potem z ulgą witała koniec tygodnia, w którym udawało jej się zrobić to, co musiała.

W niecałe trzy minuty wszystko się zmieniło.

Jacob przyniósł dwie filiżanki i dzbanuszek z herbatą. Fran siedziała na tarasie z tęskną miną, wpatrzona w horyzont. Miała długie jasne włosy, czystą cerę bez grama makijażu i wyglądała na nie więcej niż szesnaście lat. Jej figura - szczupłe ciało, długie tyczkowate nogi - sprawiała wrażenie kruchej, ale mimo to Fran była bardzo kobieca. Miała miękkie usta - to jedna z pierwszych rzeczy, jakie zwróciły jego uwagę -które wszakże częściej układały się w grymas, jak gdyby nie czuła się dobrze z uśmiechem na twarzy.

- Bardzo proszę - powiedział, stawiając tacę na stoliku. - Ciasteczka to dzieło Beryl. Chyba postanowiła wziąć mnie pod swoje skrzydła.

- Poważnie?

Uśmiechnął się kpiarsko, siadając naprzeciwko niej.

- Beryl jest jedną z tych kobiet, według których mężczyzna po trzydziestce powinien mieć żonę i dzieci. Więc misją Beryl jest znalezienie dla mnie żony.

Zwrócił uwagę na rumieniec oblewający jej policzki, gdy tylko wzięła do rąk filiżankę.

- Na pewno sobie poradzisz. - Odwróciła wzrok.

- To nie takie proste - oznajmił i rozsiadł się wygodnie. - Ale w sumie nigdzie mi się nie spieszy.

Przerwę w rozmowie wypełniło skrzeczenie kakadu.

- Dlaczego przyjąłeś posadę w Pelican Bay? Czy tylko dlatego, że twojej mamie się tu podobało?

- I jedno, i drugie, jak sądzę. - Skubnął ciastko. - Potrzebowałem odmiany. Walcząc z przestępcami w mieście, uczysz się cynizmu. Tutaj jest inaczej. Oczywiście niektórzy łamią prawo, ale w tego typu społeczności chodzi przede wszystkim o pomaganie ludziom. Czujesz, że możesz coś zmienić.

- Jak długo zamierzasz tu zostać? Zastanowił się przez chwilę.

- Biorę życie takim, jakie jest. Mam do załatwienia parę spraw związanych ze śmiercią mamy, zarówno tutaj, jak i w Sydney. Nie chcę się spieszyć z decyzjami.

Spojrzała w filiżankę, którą obejmowała dłońmi, i upiła kolejny łyk herbaty.

- Wiem, że to zabrzmie dziwnie, ale mam wrażenie, że polubiłabym twoją mamę, gdyby dane mi było ją poznać. - Znowu spojrzała na niego. - Uwielbiam to miejsce. Jest tak spokojnie, że słyszysz własny oddech.

- Poza kakadu.

- No tak. Cisza.

- Herbaty?

-Nie, dziękuję. Była doskonała. - Odstawiła filiżankę i, wsparłszy się na drewnianych podłokietnikach, szybko wstała. - Chyba już pójdę. Niedługo zacznie się ściemniać.

- Odwiozę was.

- Nie trzeba. Pójdziemy sobie drogą.

-I tak jadę w waszą stronę. Poza tym nie chcesz się chyba spóźnić.

Fran popatrzyła na niego pytająco.

-Nigdzie się nie spieszę. Chcę pójść do domu nakarmić Rufusa i poglądać telewizję.

Uśmiechnął się kącikiem ust.

-Aha, więc spławiasz mnie dla jakiegoś brazylijskiego serialu, tak?

Fran poczuła, że pieką ją policzki, ale mimo to odparła:

-Nie mam w zwyczaju chodzić na randki z facetami, którzy się nade mną litują.

-Myślisz, że właśnie o to chodzi?

Jej usta momentalnie wyschły. Wystawiła koniuszek języka, by je zwilżyć. Kiedy Jacob podszedł do niej, poczuła lekki dreszcz.

-C-co robisz? - zapytała, zaskoczona, że w ogóle zdołała się odezwać, pal ichto, że zabrzmiała jak trzeszcząca płyta.

- A jak ci się wydaje? - odpowiedział pytaniem. Fran zamarła w oczekiwaniu. Serce waliło jej tak, jakby miało wyskoczyć z piersi.

- E... nie jestem pewna.

W jego oczach nadal błyszczała iskra rozbawienia - a może to była drwina? Wstrzymała oddech. Jacob sięgnął po coś obok jej talii, ocierając się o nią i wywołując tym samym lawinę doznań. Ożył każdy por skóry, wibrował z podniecenia. Zwilżyła wargi. Pocałuje ją? Nagle zaiskrzyło. Jej tętno przyspieszyło, motyle w brzuchu połaskotały, rzęsy zatrzepotały raptownie, źrenice śledziły jego usta...

A potem usłyszała brzęk kluczy.

- Leżały na blacie. - Obrócił je w palcach. Fran zamrugła.

- Aha. Jasne. Oczywiście. - Stopniowo wypuszczała powietrze, świadoma, że pod wpływem jego spojrzenia policzki nadal płoną jej żywym ogniem.

Uśmiechnął się kącikiem ust.

- Nie to, żeby nie przeszła mi przez głowę ta sama myśl co tobie - dodał, przenosząc wzrok na jej usta.

Otworzyła szeroko oczy, ale postarała się, żeby ton jej głosu zabrzmiał nonszalancko:

- Wydaje ci się, że potrafisz czytać w myślach? Uniósł dłoń i opuszką palca niespiesznie przesunął wokół jej ust. Fran zadrżała. Poczula się, jakby zamiast kręgosłupa płynął w niej potok płynnego miodu. Serce tańczyło dziki taniec, od którego kręciło się w głowie.

- Skoro oczekiwałaś ode mnie pocałunku, to może powinienem...

Jakimś cudem Fran zdołała zmusić struny głosowe do posłuszeństwa. Zabrzmiała zgryźliwie, może nawet sarkastycznie:

- Proszę, nie czuj się zobowiązany.

Kiedy zbliżył się do niej jeszcze bardziej, przestała na moment oddychać. Wiedziała, że w każdej chwili może wyciągnąć ręce i go objąć. Gdy się o nią otarł, poczuła, że jest o krok od eksplozji.

Napięcie w powietrzu stało się niemal namacalne.

Fran starała się nie patrzeć na jego usta. Owszem, pragnęła ich, ale wiedziała, że jeżeli to zrobi, nie zdoła się opanować i przyklei się do Jacoba całym ciałem. Wpatrywała się w jego oczy, tonęła w nich.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł, żebym... żebyśmy, wiesz... wiazali się - wydukała.

Wytrzymał jeszcze jedno lub dwa uderzenia serca, po czym się wycofał.

- Szkoda - skwitował lekkim tonem. - Daj mi znać, jeśli zmienisz zdanie.

Fran zmarszczyła brwi w swój typowy niefrasobliwy sposób. Jej serce nadal waliło jak oszalałe, a on zachowywał się jakby nigdy nic. Nie wiedziała, czy powinna czuć się urażona, czy może rozczarowana. Szczerze mówiąc, odczuwała jedno i drugie. Czyżby Jacob szukał przelotnej znajomości? Poniżające! Ale z drugiej strony przecież faktycznie chciała go całować.

Irytowało ją to poczucie zawodu i rozdrażnienia. Zastanawiała się, czy Jacob tylko sobie z nią pogrywa, czy sprawdza, jaką jest kobietą. Wiedziała, że mnóstwo innych pań nie miałyby nic przeciwko przelotnej przygo-

dzie z atrakcyjnym partnerem. W końcu w dzisiejszych czasach przygoda na jedną noc albo seks między przyjaciółmi to nic nadzwyczajnego. Ale ona nie była taka.

- Rufus, idziemy do domu! - zawołała.

Rufus podniósł się z podłogi i, machając ogonem, usiadł u stóp Jacoba, wpatrując się w niego z uwielbieniem.

Fran miała ochotę przewrócić oczami. Skrzyżowała ręce i kiwnęła karcąco na psa.

- Zdrajca.

Jacob zmierzył kundlowi sierść i zadzwonił kluczykami.

- Pojedziemy radiowozem.

Wpuścił Rufusa na tylne siedzenie i zajął miejsce za kierownicą.

- Urządziłem w domu siłownię. Mam sprzęt, który pomoże ci wzmocnić mięśnie. Kilka lat temu złamałem nogę w pościgu samochodowym. Mógłbym przygotować dla ciebie program.

Ich spojrzenia spotkały się na moment, po czym Fran powróciła do beznamiętnego studiowania przedniej szyby.

- Pomyślę - stwierdziła sztywno.

- Dobrze - odparł. Włączył silnik i ruszył, wzbijając spod opon fontannę żwiru.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Podróż trwała zaledwie kilka minut. Kiedy Jacob wjeżdżał na podjazd przed domem, poinformowano go przez radio o wypadku tuż za granicami miasta.

- Jest ze mną doktor Nin - odpowiedział i zerknął na Fran. - Masz jeszcze tę torbę ze sprzętem?

- Jest w domu - odparła Fran, czując, jak nerwy napinają się jej jak postronki.

Byłe nie wypadek, z miejsca którego zbiegł sprawca. Byłe nie reanimacja na poboczu i bez wsparcia. Nie była w stanie tego zrobić. Musi Jacobowi o tym powiedzieć. Teraz, zaraz. Wstanie i powie, jaki z niej tchórz, nieudacznik i kłębek nerwów...

- Będziemy za dziesięć minut - rzucił. Zanim Fran zdążyła odpiąć pasy, Jacob wysiadł z auta i był już przy drzwiach wejściowych do domu jej siostry. Zmusiła chorą nogę do wysiłku i pędem wpadła do środka, popychając przed sobą Rufusa.

Kiedy, zabrawszy torbę, wsiadła z powrotem do radiowozu, wzięła głęboki oddech. Jacob przycisnął gaz do dechy. Tylko spokojnie, tylko spokojnie, powtarzała sobie.

Starła się nie stracić panowania nad sobą. Kilka lat wcześniej podczas szkolenia ćwiczyła na pozorantach pacjentach, jak postępować z ofiarami wypadku.

W szpitalu miała do czynienia z tysiącami różnych przypadków, ale zawsze miała asystę i sprzęt pod ręką. Opatrzenie prawdziwego pacjenta na poboczu drogi będzie dla niej rzeczywistym sprawdzianem. Załoga karetki to ochotnicy, a nie zawodowi ratownicy. Małych miejscowości w rodzaju Pelican Bay nie stać na pełnoetatową obsadę.

Fran wiedziała, że będzie musiała przejąć dowodzenie akcją ratunkową i na samą myśl o tym kuliła się z przerażenia. W jakim stanie będzie ofiara? Wypadek może oznaczać wszystko: potrącenie z minimalnymi obrażeniami albo silne uderzenie z odrzuceniem człowieka na znaczną odległość. W głowie pojawiły się jej różne scenariusze wydarzeń, a każdy podsycił w niej panikę. Brakowało jej doświadczenia w takich sytuacjach. Nadal przeżywała własną traumę - jakim sposobem może poradzić sobie z czymś cierpieniem? A jeżeli znowu będzie miała pustkę w głowie? Jacob jest kompetentnym policjantem, ale nie poradzi sobie z ofiarą, jeżeli Fran się rozsypie.

Zacisnęła pięści i starła się przygotować na to, co zastanie na miejscu wypadku.

Karetka dotarła pierwsza. Wypadek miał miejsce na Rainbow Creek Road, mniej więcej piętnaście kilometrów od granic Pelican Bay. Dwoje ochotników spojrzało w stronę radiowozu z wyraźną ulgą.

- Poważny uraz głowy i złamana noga - odezwała się ochotniczka, kobieta w średnim wieku. - Ledwo oddycha. Mick usiłuje podać mu tlen.

Fran wzięła uspokajający oddech i szybko oceniła sytuację: mężczyzna około pięćdziesiątki, udo pod kątem prostym, ciemnoczerwona krew z rany na głowie, słaba praca płuc.

- Podaj mi kołnierz szyjny - powiedziała Fran do Karen, ochotniczki.

Założywszy ofierze kołnierz, poprosiła o przygotowanie worka samorozprężalnego. Szybko nałożyła rękawiczki i gogle. Jacobowi kazała zrobić to samo. Patrzył z góry na ofiarę z nieprzenikniętym wyrazem twarzy.

- Sierzancie Hawke... Otrząsnął się z odrętwienia.

- Włóż rękawiczki - powtórzyła. - I gogle. Krew może bryzgać. Karen, Mick, wy również.

Założyła pacjentowi maskę, a następnie umieściła w tchawicy rurkę intubacyjną i podała tlen. Żadnej reakcji. Drogi oddechowe nie były zablokowane, a mimo to pacjent nie oddychał.

- Wyprostuj mu nogę - poleciła Mickowi. Jacob, z pomocą Micka i Karen, ułożył mężczyznę na desce ortopedycznej, podczas gdy Fran pilnowała unieruchomionej kołnierzem szyi. Kiedy pacjent znalazł się na plecach, Fran zorientowała się, że ofiara otrzymała uderzenie w krtań, która najprawdopodobniej została zmiażdżona. Intubacja nie na wiele się zda.

- Muszę mu zrobić konikotomię - oznajmiła, sięgając po skalpel. Opanowała drżenie rąk. Robiąc nacięcie, walczyła z brakiem pewności siebie. - Mick, wentyluj go, a ja posłucham płuc - zarządziła.

- E... to mój pierwszy raz - odparł chłopak i zaczerwienił się. - Nie wiem, czy potrafię.

Fran przeniosła wzrok na kobietę.

- Niech lepiej sierżant to zrobi - skrzywiła się Karen. - My nie mamy doświadczenia. Jack ma w tym tygodniu wolne, a Hamish wyjechał z miasta. Tylko my zostaliśmy pod ręką.

- Dobra, sierżancie. - Zanim zdążyła mu wytłumaczyć, co ma robić, on już zabrał się do rzeczy z zawodową precyzją. Zrozumiała, że mechanicznie reagował w sytuacjach kryzysowych. - Okej. - Wzięła kolejny głęboki oddech, sięgnęła po stetoskop i zwróciła się do Karen: - Rozetnij mu koszulę.

Następnie pochyliła się nad klatką piersiową ofiary i wsłuchiwała się. Powietrze nie dociera do prawej strony płuc. Wszystko wskazuje na odmę opłucnową, która, o ile pacjent nie uzyska natychmiastowej pomocy, zwykle kończy się śmiercią.

Fran znalazła gruby wenflon. Odkaziła go wacikiem nasączonym alkoholem, po czym powoli wbiła igłę tuż nad trzecim zębem, w drugie międzyzębrze po prawej. Wyczuła lekkie „pyknięcie”, gdy igła przeszła przez opłucną. Przez wenflon z sykiem zaczęło uciekać powietrze.

Umieściła wenflon w obydwu ramionach pacjenta i podała sól fizjologiczną.

- Mick, możesz sprawdzić tętno i zmierzyć ciśnienie krwi? - powiedziała, kątem oka rejestrując przybycie drugiego radiowozu z dwójką policjantów. - Karen, rozetnij mu spodnie. Muszę sprawdzić tętno i unieruchomić nogę.

- Puls 140, ciśnienie 80 na 50 - poinformował Mick.

Założywszy szynę, Fran przystąpiła do oględzin rany głowy. Nie zauważyła uszkodzenia kości czaszki, pacjent miał tylko ranę szarpaną. Kiedy

podniosła mu powieki, zauważyła jednak nierówne źrenice. Obandażowała krwawiącą głowę i gdy upewniła się, że pacjent znajduje się w dość stabilnym stanie, czuwała przy wnoszeniu go do karetki. Jeden z policjantów poprosił o przysłanie helikoptera i poinformował Fran, że śmigłowiec za około pół godziny wyląduje na boisku w pobliżu przychodni.

Jacob przekazał wentylację Karen. Obszedł miejsce wypadku, przykucając, by przyjrzeć się zwirowi i śladom opon. Wciąż miał tę samą enigmatyczną minę.

Zauważył badawcze spojrzenie Fran, zdjął zakrwawione rękawiczki i wrzucił je do kosza w karetce.

- Nieźle go ktoś stuknął - stwierdził. - Gdyby cię tu nie było, umarłby, zanim przyleciałby śmigłowiec.

Fran zarumieniła się, słysząc ten komplement. Wiedziała, że Jacob mówi szczerze.

- Jak można potrącić drugiego człowieka i uciec z miejsca wypadku? - zapytała retorycznie.

Jacob spojrział na ofiarę na noszach.

- Są ludzie i ludziska, doktor Nin. - Jego westchnienie zabrzmiało jak mieszanka refleksji nad światem oraz ulgi, że nie będzie już potrzebny przy wypadku.

Kiedy pacjent znalazł się w karetce, Fran założyła dren na otwór w opłucnej, a po drodze do przychodni założyła jeszcze cewnik i rurkę nosowo-żołądkową.

Dokonawszy ponownych oględzin, stwierdziła jeszcze kilka innych urazów. Ofiara wypadku nadal była nieprzytomna, ale ciśnienie krwi niemal wróciło do normy.

Fran porozumiała się przez komórkę ze szpitalem, opisała stan pacjenta i zdała raport z czynności, które przy nim wykonała. Rozmowa ze szpitalem poszła gładko, a Fran zastanawiała się, czy to możliwe, że zrobiła właśnie krok na długiej drodze ku normalności.

Nadleciał śmigłowiec i zabrał pacjenta, pędem wirnika burząc włosy Fran. Pielęgniarze przejęli opiekę nad ofiarą, pogratulowawszy Fran sprawnej akcji.

Podszedł do niej posterunkowy Jeffrey.

- Sierżant polecił mi, żebym odwiózł panią do domu. Sam został na miejscu wypadku.

- Wiadomo, kim jest ofiara? - zapytała w radiowozie.

- Podobno nazywa się Wade Smith i pochodzi z Sydney, tak przynajmniej twierdzi sierżant.

Fran uniosła brwi.

- Skąd go zna?

- Mamy go w kartotece. Kradzież auta, napaść, przemoc domowa, długa lista.

Fran zagryzła wargę. Pacjent to pacjent, niezależnie od tego, kim jest i co robi. Gdyby wiedziała, że Smith jest kryminalistą, nie potraktowałyby go inaczej. Był po prostu człowiekiem, któremu należało pomóc.

- Dziękujemy, pani doktor - rzekł posterunkowy parkując przed domem Caro.

Była zmęczona, brudna i zirytowana tym, że Jacob o wiele bardziej zaprzętał jej myśli, niżby sobie tego życzyła.

Fran wzięła prysznic i właśnie zastanawiała się, czy powinna coś zjeść, kiedy nagle Rufus nastawił uszu. Ktoś zaparkował na podjeździe. Poprawiła szlafrok.

Jacob też zdążył się już wykapać i przebrać. Miał na sobie dżinsy i białą koszulkę, która kleiła się do jego ciała. Fran nabrała ochoty, by dotknąć jego piersi i poczuć pod palcami każdy napięty doskonały mięsień.

- Przepraszam, że zawracam głowę tak późno - odezwał się, lustrując ją wzrokiem.

- Nie szkodzi - odparła, jedną ręką otwierając mu drzwi, a drugą przytrzymując połę szlafroka. - Jeszcze się nie kładę. Właśnie się zastanawiałam, czy zjeść kolację, czy dać sobie spokój.

- Miałaś ciężki dzień. Powinnaś coś zjeść.

- A ty?

- Z godzinę temu wypilem letnią kawę.

- Mogłabym coś przygotować. To znaczy, jeśli chcesz. Nic wymyślnego, ale zawsze.

- Byłoby super.

- Napijesz się wina, a może piwa? - zapytała, szperając w lodówce. - Nick ma tu gdzieś piwo.

- Świetnie, poproszę - odparł, siadając na stołku. - Jestem po służbie, ale wolałbym nie przesadzać z alkoholem, w razie nagłego wezwania.

Fran podała mu butelkę, a sobie nalała kieliszek białego wina.

- Jak rodzina pana Smitha przyjęła wieści o wypadku? - zapytała, rozbijając jajka na omlet.

- Nie ma tu rodziny. Jego brat mieszka chyba w Wagga.

- Znasz go?

- Nie osobiście.

Rozbiła ostatnie jajko i wzięła do ręki trzepaczkę. Zagryzła dolną wargę w zamyśleniu.

- Wiesz co, tak myślałam o jego obrażeniach...

- No?

- Uraz gardła był dość nietypowy, jak na potrącenie. Złamana noga to standard, ale szyja... Nie wiem...

- Uważasz, że to nie był wypadek samochodowy?

- A ty co sądzisz?

- Nie znalazłem śladów hamowania, które wskazywałyby na samochód usiłujący uniknąć uderzenia. Owszem, były ślady opon w miejscu, gdzie auto się zatrzymało, a potem ruszyło ze znaczną prędkością.

- Czyli otrzymał rany gdzie indziej, a potem został wyrzucony tak, żeby wyglądało to na wypadek?

- Takie mam wrażenie - powiedział smętnym głosem.

- Jaki ktoś mógł mieć motyw? Czy Smith ma w miasteczku jakichś wrogów?

- Ludzie tacy jak Wade Smith wszędzie mają wrogów - odparł gorzko.

- Ciągną się za nimi jak smród.

- Kto zgłosił wypadek? - zapytała, stawiając omlet na ogniu.

- Anonim. Zadzwoił z komórki. Jutro powinniśmy wiedzieć, kto to był.

- Myślisz, że to ta sama osoba, która odpowiada za wypadek?

- Raczej nie. Dlaczego ktoś, kto pragnął śmierci Smitha, miałby dzwonić po pomoc? Raczej znalazł go jakiś miejscowy, a ponieważ nie chciał się do tego mieszać, zadzwonił i ulotnił się. Znalazłem więcej śladów opon. To tylko kwestia ustalenia, do czyjego samochodu należą.

Fran drżącą dłonią podniosła kieliszek z winem.

- Przeraza mnie myśl, że ulicami miasteczka chodzi ktoś, kto nie zawaha się przed czymś takim.

- Sądzisz, że Smith przeżyje?

- Chyba tak. To znaczy z ciałem wszystko będzie okej, ale mózg... Może będzie jak roślina, a może obudzi się po prostu z bólem głowy lub amnezją i tyle. Dowiemy się, kiedy zostanie odłączona sztuczna wentylacja.

Jacob zabębnił palcami o butelkę.

- Świetnie się spisałaś. Nie było łatwo, ale doskonale sobie poradziłaś. Powiem szczerze, że miałem co do ciebie wątpliwości, ale przejęłaś kontrolę jak na autopilocie.

- Dzięki. Byłam przerażona.

- Nie było widać.

- Chyba naprawdę potrzebujecie lekarza na pełen etat.

- Zastanawiasz się nad zmianą decyzji? Linda powiedziała mi, że ma już komplet pacjentów na piątek.

Fran zaczęła bawić się kieliszkiem.

- Wiem. Nagrała mi się na sekretarkę. Ale ja jestem specjalistką w dziedzinie medycyny wypadkowej. Mam za sobą lata doświadczenia, ale... nie jestem lekarzem ogólnym.

- Wy, lekarze, jesteście jak policjanci. Musimy mieć ogólne doświadczenie i wiedzę, a jednocześnie specjalizację. Pracowałem w drogówce i w wydziale narkotyków, a nawet krótko brałem udział w tajnych operacjach, ale glina to glina, tak samo jak lekarz to lekarz. Dzisiaj zachowałeś się, jakbyś robiła to całe życie.

Odstawiła kieliszek drżącą dłonią. Ze zmarszczonym czołem przełożyła omlet na talerz. Zastanawiała się, jak zacząć. Nie pojmowała, dlaczego pragnęła poruszyć z nim temat, o którym z nikim innym nie chciała rozmawiać. Może dlatego, że czuła, że ją zrozumie. W końcu miał za sobą ból po śmierci ojca z rąk kryminalisty. Nosił w sobie ten ból, widziała to w jego wycofaniu, racjonowaniu uśmiechu.

Podawała mu talerz z porcją puszystego omletu z serem i sałatki. Usiadła na stołku naprzeciwko.

- Jacob, jest coś, co musisz o mnie wiedzieć... Skupił na niej spojrzenie swoich błękitnych oczu.

- Wiem, że masz mnie za mieszczkę z problemami i zdaję sobie sprawę, że sama jestem winna tego wizerunku. Tak było prościej, niż przy każdym spotkaniu tłumaczyć ci przyczynę mojego zachowania.

Jacob milczał. Fran spojrzała na talerz, pogmerała chwilę widelcem w jedzeniu, po czym znów podniosła głowę.

- Był piątek wieczór, tłum pacjentów. Miałam za sobą tysiące takich dni. Pacjenci na wózkach i siedzący na krzesłach w korytarzu czekali na

wolne łóżka. Wiesz, jak jest w szpitalach. Ochrona pobiegła zająć się pijakiem, który obrażał personel, a mnie wezwano do kolejnego pacjenta, młodego człowieka, którego przyjęto z ranami szarpanymi rąk. - Urwała i przeknęła ślinę. - Zachowywał się, jakby ktoś go nakręcił. Był pobudzony, ale wydawało mi się, że to z powodu obrażeń. Nagle zaczął zachowywać się agresywnie. Rzucił mną o ścianę. Krzyknęłam, ale uderzył mnie pięścią w twarz. Straciłam na chwilę przytomność, a kiedy się ocknęłam, on skakał po mojej nodze. Ten ból... - Skrzywiła się. - Próbowałam uciec, ale on podniósł mnie, a ostatnia rzecz, jaką pamiętam, to jego pięść zbliżająca się do mojej twarzy.

Jacob poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Choć pracował w policji już tyle lat, nadal nie potrafił znieść przemocy, zwłaszcza w stosunku do kobiet i dzieci. Uczestniczył w szkoleniach poświęconych obezwładnianiu odurzonego narkotykami napastnika, a podczas służby w Sydney wiele razy doświadczył tego na własnej skórze. Pod wpływem amfetaminy przestępcy zyskują nadludzką siłę. Kiedy działanie narkotyku ustępuje, większość z nich nie jest świadoma swoich czynów. Nadmiar alkoholu skutkuje podobnie, zwłaszcza w pijackim maratonie.

Nic dziwnego, że Fran zastanawia się nad sensownością powrotu. Któż nie zastanowiłby się dwa razy? Nieraz widział, jak policjanci rezygnowali z błahszego powodu. Frances Nin jest dzielną młodą

kobietą, która tutaj, w Pelican Bay, pokonuje strach przed powrotem do zawodu. Podziwiał ją za to.

- Leżałam w śpiączce trzy tygodnie - przerwała ciszę. - Nikt nie potrafił powiedzieć, czy będę nadal tą samą osobą, kiedy, jeśli w ogóle, się obudzę. - Popatrzyła na niego ze smutkiem. - I chyba faktycznie nie jestem taka sama.

- Po takim doświadczeniu nikt nie będzie sobą. Ale świetnie sobie radzisz.

- Poza nogą.

- Mógłbym ci pomóc. Mówiłem poważnie z tą siłownią. Przychodź, kiedy zechcesz.

Fran bawiła się nóżką kieliszka. Kąciki jej ust opadły.

- Zostawił mnie przez to - dodała po chwili. Facet, z którym się spotykałam. To nie było nic poważnego, ot, chodziliśmy na randki, o ile praca nam pozwalała, ale w pewnym momencie zrozumiałam, że on nie może znieść myśli o okaleczonej dziewczynie. Zamienił mnie na zdrowy model, taką, która może nosić szpilki i biegać jak gazela.

Jacob pokręcił głową z niedowierzaniem.

-Może faktycznie wypróbuję tę twoją siłownię. Powinnam w końcu przestać uważać się nad sobą.

Jacob odsunął napoczętą kolację i okrążył wyspę.

- Co robisz? - zapytała. Jej oczy zaślniły.

- To, co chciałem zrobić już wcześniej - odparł, kładąc dłonie na jej talii.

Zadrzała pod wpływem jego dotyku.

- Hm. Uniósł brwi.

- Hm?

Posłała mu nerwowy uśmiezek.

- Znaczy się: mmm...

Spojrzał na jej usta, piękne miękkie usta, o których marzył. Poczł mrowienie w lędźwiach i, nabrawszy powietrza, dotknął ustami jej warg...

LR

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Fran od samego początku marzyła o jego ustach. Patrzyła, jak nimi porusza, jak uśmiecha się tym swoim półuśmiechem, jak wykrzywia je w zakłopotaniu i zaciska w gniewie. Nie była jednak przygotowana na ich smak.

Pierwszą reakcją było porażające doznanie, które sprawiło, że jej wargi domagały się więcej. Poczwała jego przesuwający się powoli język, który po chwili precyzyjnie przesunął się przez jej ściśnięte wargi. Nogi się pod nią ugięły. Znalazła się na emocjonalnej karuzeli, kiedy jego szorstki język splótł się z jej językiem.

Jacob oderwał dłonie od jej talii i wplótł palce we włosy, przechylając jej głowę tak, by pocałować ją goręcej. Serce niemal wyskoczyło jej z piersi, gdy językiem zaczął naśladować ruch, którego pragnęło jego ciało. Czowała jego gotowość. Wróciło jej poczucie kobiecości i atrakcyjności. Czowała się kobietą bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

Oczywiście całowała się wiele razy, uprawiała też seks - choć wcale nie aż tak często, pomyślała z żalem. Pierwszego kochanka miała na początku studiów. Seks z nim zawsze był pospieszny, pozostawiał niedosyt, a Fran obarczała samą siebie winą za poczucie niespełnienia.

Wystarczył ledwie jeden pocałunek Jacoba, by wywołać doznania, których wcześniej nie zaznała. Jak gdyby jej ciało ożyło: czuła pulsowanie i podniecenie, które upajało ją i jednocześnie zadawało ból. Poczowała mrowienie w piersiach i każdą komórką ciała zapragnęła dotyku Jacoba.

Wyobrażała sobie, jak jej ciało zareaguje w zetknięciu z jego szorstkimi i zaborczymi palcami. A potem pomyślała o jego gorących ustach i języku dotykającym jej piersi.

- Boże, powinienem przestać - jęknął. - Powiedz mi, żebym przestał.

Fran zadrżała z rozkoszy, gdy powietrze zawibrowało na jej nabrzmiałych wargach. Poczwała ciepło rozchodzące się po całej twarzy, fale pożądania przepływające przez jej ciało, oddech stał się nierówny, a puls szalenie przyśpieszony. Wysunęła język, dotknęła jego ust i rozplynęła się w ich posmaku.

- Och... - Nie zdołała sklecić złożonego zdania. Uśmiechnął się ironicznie.

- Och?

Nieśmiało odwzajemniła uśmiech.

- Och jak ooch - odparła z opadającą intonacją, wyrażając rozczarowanie.

W jego oczach pojawił się ogień pożądania.

- Wiesz, to mogłoby mi wejść w nawyk - stwierdził. - Znaczy się, całowanie ciebie.

Znow przeszły ją ciarki, gdy przesunął dłoń na kark i przyciągnął ją do siebie.

- Och? - Drżącymi ustami nie zdołała wymówić niczego więcej.

- Tak. - Nachylił się i znów ją pocałował.

Fran wciągnęła nozdrzami jego zapach i zamknęła oczy, wyruszając w kolejną podniecającą podróż, której każdy etap był niczym zmysłowe oświecenie. Jakim sposobem usta potrafią wywołać tyle emocji? Jak to możliwe, że zwykły język umie wyrazić pragnienie na tyle sposobów? To seksowne ocieranie się, to delikatne głaskanie i te smakowite nieznaczące pchnięcia, wywołujące w niej wzbierającą falę pożądania. Czowała, jak topnieje, jak ogarnia ją szaleńcze pragnienie nie do opanowania.

Objęła ramionami jego szyję, wodząc palcami po grubych ciemnych włosach. Jęknął z rozkoszą w odpowiedzi na jej pocałunek. Bawiła się jego ustami, gryzła dolną wargę szybkimi uszczypnięciami, które pobudzały i jednocześnie zadawały ból. W końcu Jacob oderwał usta od jej warg.

- Okej - powiedział, oddychając ciężko. - Zdecydowanie powinniśmy przestać.

Spojrzała na niego, nadal obejmując go za szyję i palcami kreśląc koła na jego karku. Tą pieścizotą rozpalala go, aż u podstawy kręgosłupa poczuł rozlewające się niczym lawa ciepło.

Boże, ależ on jej pragnie. Kiedy ostatni raz był tak bardzo podniecony? Nie miał co prawda tak wielu partnerek jak niektórzy jego kumple, ale z drugiej strony nigdy nie interesowały go przygody na jedną noc.

Nie chciał przestać.

- Chyba masz rację - odparła, opuszczając ramiona i cofając się o krok.

Miała zaróżowione policzki, od których odcinały się szaroniebieskie źrenice i miękkie usta.

Jacob przejechał palcem po jej podbródku - tam, gdzie jego zarost otarł się o jej skórę, widniał teraz czerwony pas podrażnionego naskórka.

-Przepraszam. Powinienem był się ogolić.

-Nie szkodzi - wyszeptała. - Nawet nie zauważyłam.

Nabrał powietrza i zanim zdążył się opanować, nachylił się i złożył pocałunek na jej ranie. Lekko przesunął usta w górę. Czas zatrzymał się w miejscu.

Fran wysunęła lekko język, nieśmiało, niepewnie, i zwilżyła wargi. Poczł napięcie mięśni, tętno przyspieszyło. Fran oddychała szybko, rozpala-
jąc jego pożądanie jak zapalka suchą jak pieprz podpałkę. Zatrzepotała rze-
sami i powoli zamknęła oczy. Przycisnął usta do jej warg.

Wydała z siebie jęk rozkoszy, poddając się czarowi jego ust. Obejmo-
wał ją w biodrach, przyciskając do swego rozpalonego ciała. Objęła go w
talii, a potem przesunęła ręką po doskonale wyrzeźbionych mięśniach ple-
ców, aż w końcu sięgnęła dłońmi do pośladków. Dotarła do niej świadom-
mość jego siły.

Jacob wydał z siebie głęboki, bardzo podniecający pomruk, a potem
powiódł dłońmi w górę, irytująco powoli, zatrzymując się tuż pod jej pier-
siami. Fran przesunęła się, pragnąc poczuć na sobie jego dłonie, jak dotyka-
ją ją, obejmują, biorą w posiadanie.

Położył ręce na jej piersiach.

-Hm, przyjemne- mruknął.- Powinniśmy przestać - dodał, przesuwał
palcem pomiędzy jej piersiami.

- No chyba... - Zadrżała, gdy opuszek jego palca prześliznął się po
wrażliwej skórze.

- Wiesz, zanim zrobię coś niestosownego... - Odsunął minimalnie połę szlafroka, rozpalając ustami delikatną skórę jej prawej piersi. Wygięła plecy w łuk. - Nie pomagasz mi - powiedział z udawanym wyrzutem, zabierając się za lewą pierś.

- W-wiem - zadrżała. - Zwariowałam, co? Rozsunął szlafrok jeszcze bardziej.

- Problem w tym, że zawsze, jak cię widzę, nie jesteś do końca ubrana - mruknął figlarnie.

- Zauważyłeś to pierwszego dnia?

- Jakżeby inaczej? I wtedy na plaży też. Zmarszczyła brwi i przechyliła głowę, spoglądając na niego pytająco.

- Kiedy?

Kciukiem pieścił jej pierś, patrząc jej przy tym prosto w oczy.

- Każdego dnia, od kiedy jesteś w mieście.

- Widziałeś, jak się opalałam?

- Mam nadzieję, że posmarowałaś się kremem! - Dotknął czubka jej nosa.

- Jak zwykle - odparła, czerwieniąc się. - Siostra mnie namówiła. Powiedziała, że nikt mnie nie zobaczy.

Uśmiechnął się do niej czarująco.

- Spokojna głowa. Nie widziałem zbyt wiele. Byłem za daleko.

- Mam nadzieję, że nie sugerujesz, że czegoś mi w tym względzie brakuje - powiedziała odrobinę zaniepokojona.

- Jasne, że nie. Jesteś piękna. Doskonała. Zagryzła wargę.

- Przepraszam, że tak się przejęłam. Chodzi o to, że moi byli partnerzy sugerowali, że powinnam sobie to i owo powiększyć. Jeden z nich obiecał nawet, że poleci mnie swojemu koledze.

- Co za palant - skwitował Jacob. Fran uśmiechnęła się.

- Wiesz co, sierzancie? Jesteś naprawdę fajny. Spojrzał na nią smutnym wzrokiem i poprawił poły jej szlafroka.

- Dzięki za przypomnienie.

- Och...

Pocałował ją szybko i niedbale.

- Przyjdź do mnie w piątek po południu. Pokażę ci, jak korzystać z siłowni.

- Nie chcę się narzucać.

Założył kosmyk jej włosów za ucho. Dotyk jego palców wywołał kolejną falę doznań.

- Potem przygotuję dla nas kolację - powiedział. - Nic wielkiego, więc nie nastawiaj się na ucztę.

- Z pewnością będzie wyśmienite - uśmiechnęła się. - Mam coś ze sobą przynieść?

- Nie. Bądź około wpół do szóstej. A może wolisz, żebym po ciebie przyjechał?

Nagle Fran zmarszczyła brwi.

- Nie wiem, co z przychodnią...

- I z pacjentami, których Linda na jutro zapisała? Skinęła głową i opuściła wzrok.

- Wcale nie miałam bólu głowy. Zapewne już się domyśliłeś.

Położył jej palec pod brodą i uniósł głowę.

- Powiesz mi, co się stało? Zagryzła wargę.

- Byłam gotowa tam wejść. Zaparkowałam przed budynkiem. - Przełknęła ślinę. - Nagle usłyszałam syrenę. Chyba jechałeś do pożaru. Za tobą pędził wóz strażacki, i ten hałas. Wtedy spanikowałam, naprawdę spanikowałam. Myślałam, że zemdleję.

- Biedactwo - powiedział czule.

- Kiedy Linda mnie zobaczyła, wyglądałam jak zombie. Co miałam jej powiedzieć? Czułam się jak idiotka. Miałam atak paniki. Myślałam tylko o tym, żeby stamtąd uciec. Rzuciłam jej coś na odczepnego, ale kiedy wróciłam do domu, okazało się, że głowa faktycznie mi pęka.

Jacob położył dłonie na jej ramionach.

- Przepraszam, że tak ci się naprzykrzałem z tą przychodnią, ale o niczym nie wiedziałem.

- Odkąd skończyłam osiem lat, pragnęłam pracować w izbie przyjęć. Spadłam z roweru i złamałam rękę. Pamiętam, że byłam pod ogromnym wrażeniem troskliwości lekarzy. Nie przyjmowałam do wiadomości, że mogłabym zostać kimś innym. Nie widzę siebie w roli lekarza ogólnego.

- A czy ja twierdzę, że powinnaś nim zostać? - spytał. - Chodzi o to, że w ten sposób mogłabyś stopniowo wrócić do zawodu, odzyskać dawną pewność siebie.

- Niczego nie obiecuję, Jacob.

- A może będę ci towarzyszył przez kilka pierwszych dni, co? - Ponownie ją objął. - Czy to ci pomoże?

- Zrobiłbyś to?

- Jestem gliną. Służę cywilom, czyli również tobie.
- Chyba nie mogę już udawać, że boli mnie głowa.
- Nie ma szans.
- Ale co sobie ludzie pomyślą? Że jesteś moim ochroniarzem czy jak?
- Postaram się nie rzucać w oczy. Mogę być na twoje zawołanie, jeśli źle się poczujesz.

Fran nadal miała wątpliwości, ale była wdzięczna za wsparcie. Odniosła wrażenie, że mówiąc mu o wszystkim, pozbyła się ciężącego na niej piętna. Teraz trudniej przychodziło jej ignorowanie uczuć do Jacoba.

- Nie znoszę być kulą u nogi - odezwała się. - Na pewno masz ciekawsze rzeczy do roboty niż niańczenie mnie.

Jacob podniósł jej dłoń i złożył na niej pocałunek.

- Nie spiesz się Fran. Nikt ci nie każe podejmować wiążących decyzji. Płyn z prądem i zobacz, jak sprawy się ułożą. Jesteś tutaj, jesteś wolna, a to miasto cię potrzebuje. Nikt nie oczekuje, że zostaniesz tu na całe życie.

Fran pokiwała potakująco głową. Chwilę później zastanowiła się, czy miała na myśli jedynie pracę w przychodni, czy też może ich związek.

Związek? Jaki związek? - zbeształa samą siebie w myślach, zmywając po kolacji. Przecież on ją tylko pocałował. Owszem, zaprosił ją na kolację, ale jest o wiele za wcześnie, żeby spekulować.

Włożyła naczynia do zmywarki i zmarszczyła brwi, myśląc o przyszłości. Nawet jeżeli będą umawiali się na randki, nie planowała zostawać w Pelican Bay dłużej niż trzy miesiące. Kiedy bliźniaki pojawią się w domu, Caro i Nick będą chcieli wieść normalne życie, a Fran nie zamierza im się narzucać.

Oczywiście mogłaby znaleźć sobie domek nad morzem - zaoszczędziła nieco pieniędzy z odszkodowania. Caro zmieniła otoczenie bez mrugnięcia okiem, ale miała Nicka, w którym się zakochała i za którym poszłaby na koniec świata.

Fran westchnęła i zamknęła zmywarę. Czy ona też się zakochała? Na samą myśl o tym, co zaszło pomiędzy nią a Jacobem, poczuła lekki dreszcz. Niewidzialna ręka ścisnęła jej serce. Podnieciła ją wizja wspólnego wieczoru. Tylko ich dwoje...



ROZDZIAŁ ÓSMY

Zgodnie z umową w piątek rano Jacob spotkał się z Fran przed przychodnią. Zsiadł z motoru i uśmiechnął się szeroko.

- Jak się czujesz? - zapytał, zdejmując kask.

- Chyba dobrze. Zabawne, ale po naszej wczorajszej rozmowie poczułam się lepiej. Po raz pierwszy nie miałam koszmarów.

Wziął ją za rękę.

- To ogromny postęp. Jesteś dzielna.

Ten komplement speszzył ją tak, że prawie nie zauważyła, jak ruszyli ku wejściu do przychodni.

Linda wyjrzała z recepcji i przeprosiła za tłumy w poczekalni.

- Jak głowa, doktor Nin? Powiedziałam pacjentom, że cały dzień ma pani już zarezerwowany, ale myśli pani, że posłuchali? Nalegali, wręcz żądali wizyty. Jeżeli nie czuje się pani na siłach, mogę ich odprawić. - Zauważyła Jacoba i dodała: - Pan, sierżancie, też chce się umówić na wizytę?

- Nie, dziękuję - uśmiechnął się. - Cieszę się wyśmienitym zdrowiem. Pomagam doktor Nin się... wdrożyć. Oprowadzę ją po przychodni.

Tak też zrobił, bacznie przy tym obserwując Fran. Na zewnątrz była spokojna, ale co pewien czas przymykała oczy i sztywniała, by po chwili się opanować.

- Tutaj będziesz przyjmowała. - Otworzył przed nią drzwi.

Fran postąpiła krok do przodu, wciągnęła szpitalny zapach i poczuła, jak uchodzi z niej część napięcia.

- Nieźle wyposażony. - Odwróciła się do niego i rzekła: - Dziękuję, że tu jesteś, że mi pomagasz. Chyba dam sobie radę. Przyjrzałam się pobieżnie pacjentom i przypuszczam, że większość przyszła po prostu po receptę.

- Będę niedaleko. Muszę zadzwonić w parę miejsc w związku z potrąceniem.

- Nie musisz tu zostawać. Dam radę. Najgorsze już za mną.

- Pamiętaj o naszej randce. Mam po ciebie przyjechać?

- Nie wiem, jak długo tu będę. Przyjdę sama. Pochylił się i pocałował ją w środek czoła.

- Zadzwon, jeżeli będę ci potrzebny, okej?

Fran wróciła do poczekalni i poprosiła pierwszą pacjentkę.

- Tara Clark? - Poszukała wzrokiem chudej dziewczyny, którą poznała w sklepie.

Tara siedziała z tyłu, mimo upału ubrana w obszerne czarne ciuchy. Przepchnęła się przez tłum ze spuszczoną głową niczym zjawa z łopatkami wystającymi jak skrzydła.

- Cześć, Tara - powiedziała Fran i zaprowadziła ją do gabinetu. - Spotkałyśmy się w sklepie.

Tara obrzuciła Fran przelotnym spojrzeniem i u-siadła.

- No, pamiętam.

- Czym mogę służyć? - Fran zerknęła do karty: niewiele, jedna kartka. Ostatni raz dziewczyna była w przychodni przed trzema laty, w wieku trzynastu lat.

- Potrzebuję czegoś na sen - wymamrotała, patrząc gdzieś w bok.

W głowie Fran odezwał się ostrzegawczy dzwonek.

- Jesteś zbyt młoda, żeby cierpieć na bezsenność. Od jak dawna masz z tym problem?

Tara wzruszyła chudymi ramionami.

- Trochę już.

Od Beryl Fran dowiedziała się, że Tara mieszka na odludziu z ojcem i bratem. Matka Tary odeszła z innym mężczyzną. Miasteczko było w szoku, że kobieta zostawiła swoje dzieci. Nola Clark nie upomniała się o prawo do opieki, nie zażądała nawet prawa do wizyt. Ułożyła sobie nowe życie z nowym kochankiem w innym stanie, a poza kartkami na święta nie podejmowała innych prób kontaktu z synem i córką.

Fran pomyślała, jak odmiennie przebiegało jej wychowanie. Rodzice nadal kochali się tak samo mocno, a Fran i Caro łączyła bezwarunkowa siostrzana miłość.

- Tara - zaczęła ostrożnie - leki nasenne to tymczasowy środek służący regulacji rytmu snu u człowieka. Lepiej będzie, jeżeli porozmawiasz z kimś na temat przyczyn bezsenności.

Tara spojrzała na nią zamglonymi oczami.

- Nie pójdę do psychologa - oznajmiła stanowczo. - Nie będę z nikim rozmawiała.

Fran szybko wycofała się.

- Okej, rozumiem. Niełatwo rozmawiać z obcymi ludźmi o osobistych problemach.

- Wcale nie chodzi o nią - skrzywiła się Tara. Fran odczekała chwilę.

- O twoją matkę?

W oczach dziewczyny pojawiła się gorycz.

- Nienawidzę jej. Zostawiła tatę. Wszystkim nam zrujnowała życie.

Fran poczuła negatywną energię bijącą od dziewczyny, a wraz z nią ła-
dunek bólu. Ujrzała dziecko uwięzione w ciele nastolatki, małą dziewczyn-
kę, która opłakiwała stratę matki. Dziewczynkę, która czuła, że powinna
zająć miejsce matki i zaopiekować się bratem oraz zdruzgotanym ojcem.
Dziewczynkę, która jako młoda kobieta bezskutecznie próbowała znaleźć
dla siebie miejsce.

- Tara - odezwała się łagodnie - zauważyłam blizny na twoim nadgarst-
ku.

Na oblicze Tary padł cień.

- No i?

- Powiesz mi, skąd się tam wzięły?

Tara wytrzymała spojrzenie przez pół minuty, po czym opuściła głowę
i odezwała się urywanym szeptem:

- Nic nie poradzę. Muszę to robić. Pozbywam się bólu.

Fran przełknęła ślinę. Musi zachować profesjonalizm, ale tragizm losu
dziewczyny... Izolacja dodatkowo zwiększała ból. Fran zdała sobie sprawę,
jak ważna to wizyta. Musi postępować ostrożnie. Ma jedyną okazję wzbu-
dzić w Tarze zaufanie i zbudować między nimi most porozumienia.

- Samookaleczanie jest popularne - zauważyła. - Zwłaszcza wśród twoich rówieśników.

- Tak?

- Nie jest to co prawda idealny sposób walki ze stresem, ale z pewnością widoczny. - Odczekała sekundę. - Wiesz, to jak obgryzanie paznokci. Nawyk, którego trudno się wyzbyć. Ważne, żeby umieć go kontrolować. Najlepszym sposobem jest rozmowa o problemach, które cię gnębią. Wiem, że nie masz ochoty na spotkanie z psychologiem, ale może nam dwóm uda się porozumieć. - To była spontaniczna propozycja. Fran czuła się zobowiązana pomóc Tarze. - Nie jestem tu na stałe, ale wyjeżdżam z Pelican Bay dopiero za dwa miesiące. Możemy spotkać się, wiesz, pójść na spacer po plaży, pogadać o tym i owym, o czym zechcesz. I nikt się nie dowie.

Tara zmieniła pozycję na krześle i spojrzała na blizny, jak gdyby chcąc sprawdzić, czy nadal są na miejscu. Po chwili spojrzała na Fran oczami pełnymi bólu.

- Nienawidzę samej siebie. Zawsze czułam, że gdyby nie odeszła, byłabym inna.

- Wiele dzieci wini siebie za rozpad związku rodziców. Ale rodzice mają swoje sprawy, o których dzieci nie wiedzą, sprawy, które sięgają wstecz na długo, zanim narodziło się dziecko.

Tara przesunęła językiem po suchych jak wiór, anemicznych ustach.

- Martwię się o tatę. Któregoś dnia uderzył sierżanta. - Spojrzała na Fran ze strachem w oczach. - Boję się, że tata pójdzie do więzienia.

- Jeśli chcesz, porozmawiam z sierżantem.

- Naprawdę?

- Oczywiście. Sierżant jest bardzo wyrozumiałą osobą. Załatwię to.
Znalazła opaskę uciskową i strzykawkę.

-Dobrze, a teraz musimy ci zrobić analizę krwi. Być może masz anemię i dlatego czujesz się zmęczona w ciągu dnia, co z kolei przekłada się na kłopoty ze snem.

Tara niechętnie podwinęła rękaw, a Fran z przerażeniem ujrzała sieć blizn sięgających aż do łokcia. Delikatnie pobrała krew. Dziewczyna chyba się odrobinę rozluźniła, a kiedy ustaliły datę wspólnego spaceru, twarz Tary rozświetlił nieśmiały uśmiech.

Kiedy nastolatka wyszła z gabinetu, Fran zaczęła bawić się długopisem. Miała nadzieję, że postępuje słusznie, organizując nieformalne spotkanie z młodą pacjentką. Porozmawia o tym z Jacobem, obiecała sobie. Być może on będzie wiedział, co z tym fantem zrobić.

Odłożyła długopis i zwilżyła wargi, przypomniawszy sobie, jak smakowały usta Jacoba. Siedziała, marząc, dłuższą chwilę, aż w końcu interkom wyrwał ją z zadumy.

-Przepraszam, Lindo - rzuciła, mechanicznie poprawiając niesforne kosmyki włosów. - Już idę.

Jacob rozmawiał przez komórkę. Przechodząc obok recepcji, zasłonił dłonią słuchawkę i szepnął:

- Muszę jechać na posterunek. Pilna sprawa. Przyślę Jeffrey'a, jeżeli chcesz. Przepraszam.

- Nie trzeba. - Pokręciła głową. - Nieźle mi idzie.

- To do zobaczenia później - rzucił i wyszedł, machnąwszy Lindzie na pożegnanie.

Fran odetchnęła i wróciła do poczekalni.

Ostatnią pacjentką okazała się bardzo młoda matka, która weszła, niosąc na rękach mniej więcej dwuletnie dziecko z gorączką. Chłopiec był ospały i marudny, ale ożywił się nieco, kiedy Fran wręczyła mu zabawkę i zabrała się do badania uszu i osłuchiwania klatki piersiowej.

- Od jak dawna to trwa? - zapytała.

- Z tydzień. Ale nie umiem prowadzić, więc nie miałam gdzie go zabrać do lekarza - wyjaśniła Beth Judd.

Kiedy Fran podawała dziecko matce, zauważyła, że gdy dotknęła jego lewej rączki, maluch skrzywił się. Przyjrzawszy się rączce, stwierdziła, że jest lekko opuchnięta.

- Od jak dawna Kane'a boli ręka?

Młoda matka zrobiła się czerwona i poprawiła dziecku koszulkę.

- Nie pamiętam. Przewrócił się chyba.

Fran przejrzała kartę pacjenta, ale nie zauważyła niczego, co sugerowałoby znęcanie się nad dzieckiem. Chłopiec wyglądał na zadbanego, podobnie jak Beth - która nie mogła mieć więcej niż osiemnaście lat - chodź wiadać było, że męczyła ją opieka nad chorym maluchem.

- Zrobimy prześwietlenie, żeby upewnić się, że nie jest złamana. Używa jej inaczej niż drugiej rączki. Widzisz, jak trzyma zabawkę?

Matka czuła się wyraźnie nieswojo. Kiedy Fran pokazała jej na zdjęciu złamanie nadgarstka, Beth zbladła.

- Czy ojciec Kane'a mieszka z wami?

- Nie, zostawił mnie, kiedy byłam w ciąży. Mam nowego faceta.

- Jak się dogaduje z dzieckiem? - Fran połaskotała chłopca pod brodą i zaczęła nakładać mu gips.

Przez cały czas Beth unikała wzroku Fran.

- Dobrze chyba. Kane to nie jego dzieciak, to i nie kocha go tak jak ja.

- Czy twoja matka mieszka w okolicy?

- Nie gada ze mną, od kiedy wpadłam. Chciała, żebym usunęła, skończyła szkołę, poszła na studia. - Spojrzała na Fran. - Zresztą i tak było za późno. Zorientowałam się dopiero w czwartym miesiącu. Matka nalegała, żebym go oddała do adopcji, ale nie chciałam, żeby nie znał swojej matki.

- Rozumiem - odparła łagodnie Fran. - To poważna decyzja.

Beth pogłaskała synka po głowie.

- Chcę, żeby miał dobrze w życiu i był szczęśliwy.

Rozważyła w myślach różne scenariusze. Nerwowość Beth było widać jak na dłoni. Młoda samotna matka ma wystarczająco dużo spraw na głowie i bez piętna podejrzeń o fizyczne znęcanie się nad synkiem. Fran wiedziała, że musi zachować ostrożność, by Beth nie straciła do niej zaufania. Zbyt wczesne zaangażowanie odpowiednich służb czasem przynosi również zgubny skutek, jak powiadomienie ich zbyt późno. Najpierw należy nawią-

zać nic porozumienia i przekonać się, czy faktycznie istnieją podstawy, by domniemywać maltretowanie. Dzieci przecież często się przewracają.

- Kane ma brzydkie gardło - powiedziała, sięgając po recepty. - Przepiszę mu coś. Trzeba będzie go obejrzeć za kilka dni. Zapalenie migdałków może czasem przenieść się na płuca. Chciałabym, żeby był pod obserwacją lekarza. Założę się, że do czasu kolejnej wizyty będzie czuł się znacznie lepiej, ale mimo wszystko przyjdź. Zresztą i tak akurat wtedy wypada badanie kontrolne.

Beth wzięła synka na ramiona i złapała torbę.

- Dzięki, że go pani obejrzała. Tyleśmy się naczekali na lekarza.

Fran uśmiechnęła się lekko.

- Jestem tu tylko chwilowo.

- Słyszałam, że pani siostra urodziła bliźniaki.

- Tak, dwójkę chłopców. Co prawda urodzili się dwa miesiące za wcześnie, ale nieźle sobie radzą.

- Dobrze ma z panią, że pani jej pomaga i w ogóle. Jeden dzieciak to kupa roboty, a co dopiero dwójka.

- A czy tobie ktoś pomagał, kiedy urodził się Kane?

Beth pokręciła głową. Smutek przeciął jej oblicze.

- Mieszkałam sama. Miałam fajną sąsiadkę, która mi pomagała raz na sto lat, ale umarła rok temu. Miała chyba z osiemdziesiątkę. Mieszkamy przy starym kamieniołomie w Bellbird Gully. Trochę to na uboczu, raczej nie gada się tam z sąsiadami przez płot.

- My z Caro miałyśmy podobną zastępczą babcię, kiedy mieszkaliśmy w Melbourne. Uwielbiała dzieci, choć sama nie wyszła za mąż i nie miała własnego potomstwa.

- Dzięki jeszcze raz, doktor Nin. Może wpadniemy na siebie w mieście, zanim pani wyjedzie.

- Z pewnością - odparła Fran, uśmiechając się i otwierając im drzwi.

Zamknawszy je, oparła się o framugę z wyrazem zatroskania na twarzy.

LR

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Fran spóźniła się zaledwie dziesięć minut. Wróciwszy z przychodni, wpadła do domu, wypuściła Rufusa i szybko przebrała się w strój sportowy.

Zaparkowała za radiowozem Jacoba i ruszyła w stronę drzwi. Otworzył je, zanim zdążyła zapukać. Widać było, że sam niedawno przyjechał - nadal miał na sobie mundur, a jego szczupłą talię zdobił pas z bronią.

Przydałoby mu się golenie, choć ciemny zarost wyglądał na nim tak seksownie, że ledwo powstrzymała się przed dotknięciem go. Zastanawiała się, czy pocałuje ją na powitanie. Nie była pewna, czy to ona powinna zrobić pierwszy ruch. Tak dawno nie była na randce i nie pamiętała już, jak wygląda „protokół”. Poczowała się, jakby miała szesnaście lat - znów była nieśmiała, nieobyta i nieporadna.

- Cześć. Masz ochotę na coś zimnego, zanim zaczniemy ćwiczenia? - zapytał.

Pokręciła głową i poszła za nim do dużego atrium, w którym urządził sobie supernowoczesną siłownię.

- Używałaś kiedyś prasy?

- Nigdy nie przepadałam za siłownią - wyznała. - Troszkę biegałam... przed wypadkiem.

Jacob zaprowadził ją do prasy na mięśnie ud i ustawił nieduże obciążenie. Pokazał jej, jak należy ćwiczyć, tak by przyniosło to efekty.

- Dobrze - pochwalił, gdy już wpadła w rytm. - Na początek powoli.

Posłała mu zawstydzone spojrzenie, ale po kilku seriach na innych urządzeniach złapała bakcyła. Kiedy zakończyła rundę ćwiczeń, miała zaróżowione policzki i twarz mokrą od potu. Jacob pragnął przytulić ją i pocałować, ale musiał się najpierw wykapać i ogolić.

- Lepiej nie przesadzać za pierwszym razem - rzekł, podając jej butelkę wody. - Pozwolisz, że wezmę szybki prysznic?

Fran wyszła na taras, wciągając aromat morskiej bryzy. Kilka minut później drzwi prowadzące na taras rozsunęły się i pojawił się w nich Jacob - z mokrymi włosami, gładko ogoloną twarzą i ciągnącym się za nim cytrynowym zapachem płynu po goleniu. Miał na sobie niebieskie dżinsy i czarną koszulkę podkreślającą jego opaloną skórę.

- Czuję się nieswojo, dopóki nie zmyję z siebie brudu całego dnia - powiedział, siadając obok niej.

- Była dziś u mnie Tara Clark. Ponoć znasz jej ojca - zagadnęła Fran.

Nieświadomie dotknął rozcięcia pod okiem.

- Można tak powiedzieć.

- Masz zamiar wnieść oskarżenie? Skrzywił się.

- Nie. To nie jest zły gość, po prostu ma pecha. Trafiłem na jego kiepski dzień.

- To bardzo wielkoduszne z twojej strony, zważywszy, że mógł poważnie zranić cię w oko.

- Bardziej martwię się o jego syna, Sama. I o Tarę również, skoro już o tym mowa. Zagubiona dusza. Widziałaś jej blizny?

- Wygląda na to, że okalecza się od dawna. Ona potrzebuje pomocy psychologa. Ja co prawda nie mam do tego kwalifikacji, ale ona nie chce się widzieć z nikim innym. Dobrze, że zgodziła się ze mną spotkać poza przychodnią. Od lat nie była u lekarza.

- Jestem przekonany, że uda ci się jej pomóc. Tarze potrzebny jest kobiecy wzór. Wayne stara się, jak może, ale nie pogodził się z odejściem żony i dzieci nie mają z niego wiele pożytku.

- Smutne, prawda? To znaczy to, co się dzieje z ludźmi. Wszystko idzie dobrze i w jednej chwili obraca się w niwecz. - Spojrzała na niego. - Jacob, jak dobrze znasz Beth Judd?

Zmarszczył brwi, jakby starając się przypomnieć sobie nazwisko.

- Mieszkam tu dopiero od pięciu miesięcy. Zwykle poznaję ludzi, kiedy...

- Kiedy wejdą w konflikt z prawem?

- Przyznaję, że nie jestem najbardziej towarzyską osobą w mieście. Lubię mój własny świat. Dlaczego pytasz?

- Może to sobie ubzdurałam, ale... to młoda matka, osiemnastoletnia, ma dwuletnie dziecko, Kane'a. Chłopiec ma złamanie nadgarstka.

- Myślisz, że znęca się nad dzieckiem? - zapytał z miną rasowego gliniarza.

Fran wzruszyła ramionami.

- Chyba nie, ale kto wie? Dzieci często doznają urazów.

- Ma partnera?

- Tak, ale to nie on jest ojcem dziecka.

- Jak się nazywa jej partner?

- Nie wiem, nie zapytałam. Nie chciałam stracić jej zaufania. Myślę, że nie ma sensu podejrzewać kogoś na zapas. Pierwsze wrażenie czasem bywa bardzo mylące.

Znów zapadła cisza tak głęboka, że nawet ptaki przestały śpiewać.

- Uważasz mnie za tchórza, prawda? - odezwała się Fran z grymasem niezadowolenia na twarzy.

Posłał jej zirytowane spojrzenie.

- Myślisz, że jedna taka sesja jest w stanie mi pomóc? To nie działa w ten sposób. Być może już nigdy nie dojdę do siebie.

- Uważam, że odrobinę za bardzo przywiązujesz się do roli ofiary. Wmawiasz sobie, że jesteś do niczego.

Wstała i gwałtownie odstawiła butelkę na stolik. Jacob zaszedł jej drogę.

- Zaczekaj chwilę. Co w ciebie wstąpiło?

Fran poczuła, że emocje wymykają się jej spod kontroli.

- Nie umiem sprostać twoim oczekiwaniom. Ani swoim.

Podniósł jej dłoń i przycisnął ją sobie do ust, cały czas patrząc jej w oczy.

- Posłuchaj mnie, kochanie. Niczego od ciebie nie oczekuję. Uważam, że doskonale się dzisiaj spisałaś. Przyjęłaś wszystkich pacjentów, uszczęśliwiłaś wielu ludzi, być może ocaliłaś komuś życie.

- Ale uważasz, że powinnam przyjąć tę posadę.

- Chciałbym, żebyś została, ale nie dlatego, że jesteś lekarzem. - Położył sobie jej dłoń na piersi.

- Zdajesz sobie sprawę, że w takim miasteczku ciężko będzie ukrywać się z naszymi randkami, prawda? Otworzyła szeroko oczy.

- To my chodzimy na randki?

- Ty jesteś tutaj i ja jestem tutaj - uśmiechnął się. Jesteśmy tu sami. Dla mnie to wygląda jak randka.

- Aha...

Przysunął ją do siebie, kładąc dłonie na jej talii. Przeszedł ją dreszcz.

- Oczywiście możemy zostać przyjaciółmi, jeżeli wolisz - powiedział, przesuwając ustami po jej szyi.

- E... ja mam już mnóstwo przyjaciół - odparła. Jacob pocałował kącik jej ust. Prawie oszalała z wrażenia. Znajdował się tak kusząco blisko. Każdy nerw dopominał się jego gorącego dotyku.

I nagle to się stało. Jego usta objęły jej wargi w palącym pocałunku, który przesłał impuls do jej wnętrza. Jego język nie prosił o pozwolenie, po prostu wtargnął do jej ust, porywając jej język do namiętnego tańca. Zmysły Fran zawyły z rozkoszy, gdy przycisnął ją do siebie. Poczowała obezwładniające pożądanie. Kiedy przesunął dłonie na jej piersi, wyrwał się jej cichy jęk rozkoszy. Pieszczoty Jacoba były delikatnie, a jednocześnie zaborcze - ekscytujące połączenie, dzięki któremu jej ciałem wstrząsały coraz to nowe doznania. Jej sutki stwardniały, a pod* brzuszce zamieniło się w epicentrum pożądania. Na chwilę oderwał od niej usta.

- Nie wiem, co w tobie jest takiego, ale za każdym razem, gdy cię widzę, nie mogę się od ciebie uwolnić.

- I nawzajem.
- Miło to usłyszeć - odparł, podnosząc ją z ziemi.
- Och!
- Zabolalo cię?
- Nie, jasne, że nie. Po prostu... zważyło mnie z nóg.
- Tak się czujesz?
- Nie jestem pewna... Postawił ją z powrotem.
- Za szybko, prawda?

Posłała mu gorzki uśmiech. Policzki ją piekły.

- Uważasz mnie za pruderyjną.
- Wcale nie - odparł, przesuwał ciepłymi dłońmi po jej ramionach i dalej, biodrach. - Masz za sobą koszmar. To zrozumiałe, że jesteś ostrożna.
- Caro uważa, że potrzebny mi namiętny romans.
- Rozsądna rada.
- Ale ja taka nie jestem. Puścił ją i zrobił krok do tyłu.
- Wiesz, również nie wszystkich mężczyzn kręca przygody na jedną noc. Chciałbym, żeby ułożyło mi się tak jak moim rodzicom. Byli jednocześnie przyjaciółmi i kochankami. Po tym, jak zginął ojciec, matka nigdy nie spojrzała na innego faceta. Ojciec był miłością jej życia. Podziwiałem ją za to. Była młoda i atrakcyjna, mogła spróbować od nowa, ale zbyt mocno kochała ojca, żeby w ogóle o tym myśleć.
- Z moimi rodzicami było podobnie. Nie wyobrażam sobie, co jedno by zrobiło, gdyby drugiemu coś się stało.
- Miałem z nim pracować tamtego wieczoru - powiedział po dłuższej chwili głosem pełnym żalu.

- Chyba się nie obwiniasz?
- Co bym stracił, gdybym zrezygnował z filmu z kumplami?
- Życie.
- Powinienem był tam być. Mógłbym go uratować.
- Rozumiem, jak się czujesz, ale pomyśl, jak niewiele mógłbyś zrobić.
- Zawsze to lepsze niż nic. Wcale nie lepiej zadbałem o matkę, kiedy przyszedł jej koniec. Umarła, zanim dotarłem do szpitala.

Przysunęła się do niego i dotknęła jego ramienia.

- Nie zawsze wygrywamy z czasem. Najważniejsze, że wiedziała, że o niej myślałeś. Pomyśl o tym wszystkim, co dla niej uczyniłeś. Niestety nie wyszło tak, jak obydwójce pragnęliście. - Wzięła oddech i dodała. - Gdybym wtedy tu była, zajęłabym się nią. Pokonałabym strach, dla niej i dla ciebie.

- Dzięki. To dla mnie wiele znaczy. Myślę, że by cię polubiła. Byłaby pod wrażeniem twoich talentów cukierniczych.

- A propos jedzenia. Chyba powinniśmy zabrać się za kolację. - Odwzajemnił uśmiech.

- Jak ci mogę pomóc? - zapytała, starając się nie gapić tak natarczywie na jego usta.

Miała ochotę stanąć na palcach i wpić się w niego, Za szybko? Jak zmierzyć coś takiego? Pociągał ją tak samo, jak ona pociągała jego.

- Na początek przestań patrzeć na mnie w ten sposób - rzekł z kpiarskim uśmiechem.

Zaczerwieniła się.

-Przepraszam. Aż tak widać? Dotknął jej podbródka i uniósł głowę.

- Być może jest za wcześnie, ale pragnę cię. Jej oczy zapłonęły żywym ogniem. Poczowała ukłucie w żołądku. Serce raptownie przyspieszyło.

- Ja też cię pragnę.

- Mamy więc dwa wyjścia - stwierdził. - Raz: odpuścimy, zanim zajdziemy za daleko. - Jego źrenice przypominały czarne dziury w bezkresnym błękitnym oceanie. - Dwa: pocałujemy się i zobaczymy, co z tego wyniknie.

Zwilżyła usta i postarała się, by jej głos zabrzmiał zwyczajnie.

- Niezły plan.

- Nie wiem jak ty, ale ja skłaniam się ku drugiej opcji.

- Mmm, ja też - wyszeptała.

Kiedy jego usta dotknęły jej warg, poczuła, jak przetacza się przez nią fala doznań. Jego pocałunek był początkowo niedbały, ale szybko zamienił się w namiętny. Jej ciało płonęło, czuła, jak języki ognia prześlizgują się po każdym najintymniejszym zakamarku. Nie odrywając od niej ust, Jacob wsunął dłonie pod jej bluzkę, przesunął po nagiej skórze i zatrzymał się na piersiach. Wygięła plecy w łuk i wydała z siebie jęk. Przesunął po jej piersiach świeżo ogolonymi policzkami, a potem popieścił je językiem. Serce zabiło jej mocniej na samą myśl o ich splecionych ciałach.

Kiedy podniósł ją do góry, oplótł ramionami jego szyję, upajając się jego siłą. Zaniósł ją do sypialni.

Położył ją na materacu, a potem sam położył się na niej. Pocałował ją znowu, wywołując w niej wir doznań, ponownie wsunawszy dłoń pod bluzkę. Wiła się pod nim, pragnąc poczuć jego nagość, poznać jego ciało. Sięgnęła w dół i wyciągnęła mu koszulkę ze spodni, przesuwając dłońmi po

jego brzuchu i klatce piersiowej. Meszek owłosienia łaskotał ją w palce. Powiodła opuszkami wokół jego sutków, drżąc z rozkoszy, gdy wydał z siebie pomruk zadowolenia. Przesunęła dłońmi niżej, rozpięła pasek i szybko rozsunała rozporek. Wyczuwała napięcie jego mięśni, gdy zbliżyła się do ostatniej przeszkody - bielizny. Jacob wydał z siebie gardłowy jęk, gdy dotknęła jego przyrodzenia. Złapał ją za rękę.

-Hej, powoli - powiedział, oddychając ciężko. -Niewiele mi już potrzeba, a ty nie jesteś nawet rozebrana. Wyrównajmy szanse.

Kiedy zaczął walczyć z jej ubraniem, Fran poczuła kolejną falę pożądania. Najpierw bluzka, potem stanik.

-Piękne - wymamrotał, wlepiając spojrzenie w jej kremowe ciało.

Jego wilgotny język sprawił, że wyprężyła się niczym rozpalona kotka. Miała wrażenie, jakby pod jej skórą eksplodowały sztuczne ognie, pozostawiając płonące ślady wszędzie tam, gdzie spoczęły jego usta. Przesuwał się w dół. Pomógł jej wydostać się ze spodni. Językiem dotarł do jej pępka. Zaczerpnęła gwałtownie powietrza, całym ciałem wyczekując następnego ruchu. Zadrżała, gdy powoli zsunął jej koronkowe majtki.

Jego ciepło przesączało się do jej wnętrza. Pulsowała rytmicznie z pożądania, a on, jakby dokładnie wyczuwając jej potrzeby, wysunął powoli rękę w stronę jej kobiecości. Świadomość, że oto zgłębia ją w tak intymny sposób, sprawiła, że nie była w stanie oddychać. Jego pieśczość, jakkolwiek namiętna, była niespieszna i cierpliwa. Jej ciało żyło żądzą, drażniło, pulsowało, pragnęło spełnienia. Poddała się jego ustom i ciężarowi jego ciała.

To tak prymitywne - to, jak ją przygniółł, splółł ich nogi, szorując sztywnymi włoskami po jej gładkim naskórku, ten ruch ich ciał dążący do największej możliwej bliskości. Kręciło jej się w głowie, nie mogła złapać tchu i czuła, że traci panowanie. Nie była już tą rozważną ostrożną kobietą, odrobinę nieśmiałą i niepewną. W ramionach Jacoba stała się wyuzdaną istotą, bezwstydnie pokazującą, czego pragnie. Jej ciało rządziło, wilo się w oczekiwaniu na ostateczny akt oddania.

Potem Jacob oderwał od niej usta i sięgnął do szuflady w szafce nocnej, chaotycznie poszukując zabezpieczenia. Starał się zapanować nad sobą. Widziała jego napięcie, gdy patrzyła, jak nakłada prezerwatywę.

Pocałował ją raz jeszcze, układając się na niej.



Instynktownie rozsunęła nogi, a on wszedł w nią jednym ruchem. Wtedy zaparło jej dech w piersiach. Po jej kręgosłupie przebiegły żarzące się iskry, gdy, kołysząc ich połączonymi ciałami, zwiększył tempo, wywołując w niej szalone spazmy. Czowała wzbierające napięcie. Jej ciało przypominało struny od lat niestrjonych skrzypiec i wibrowało z pożądania.

Jacob zmienił rytm, jak gdyby powstrzymywał się za wszelką cenę. Zadrzała na samą myśl o tym, jak mocno go podnieciła. Wcześniej nie myślała o sobie jako o kobiecie, której nie sposób się oprzeć, a jednak w jego ramionach czuła, że bez przerwy musiał się kontrolować.

To było doskonałe uczucie mieć go w sobie, czuć jego ruchy, mieć wrażenie całkowitego oddania. Przytulała się do niego coraz mocniej, pragnąc ostatecznego spełnienia. Wygięła się, jęknęła i błagała go, by wysłał ją do rajów.

Wciąż jeszcze unosiła się gdzieś wysoko pod sufitem, kiedy Jacob nagle znieruchomiał i wydał z siebie jęk rozkoszy. Każdy jego mięsień napiął się niczym cięciwa łuku, po czym wystrzelił, drżąc w spazmach. Fran razem z nim poczuła pulsowanie naprężonych mięśni, które wywołały falę spełnienia. Przytuliła go do siebie i wsłuchiwała się w jego nierówny oddech. Nadwrażliwość intymnych części ciała wcale nie minęła. Tak dobrze jej było w jego ramionach, gdy leżeli spleceni wspomnieniem namiętności. Czowała się spełniona tak jak jeszcze nigdy przedtem.

Ale czuła się też zawstydzona brakiem doświadczenia. Zastanawiała się, czy domyślił się tego. Jak mogła żyć tyle czasu i nie zorientować się, jak wiele przyjemności mogło dać i odebrać jej ciało?

Jacob przetoczył się na plecy i dyskretnie pozbył się prezerwatywy. Odwrócił się i położył na boku twarzą do niej. Palcami zataczał kręgi na jej biodrach. Dotarł do blizny na prawym udzie i zauważył, że się spięła, jakby wzdrygając się na myśl o jego reakcji.

- To tylko blizna, kochanie - powiedział. - Z czasem zniknie.

Odwróciła głowę, zagryzła wargi i zacisnęła palce na prześcieradle. Jacob zmarszczył czoło i przekręcił jej głowę w swoją stronę.

- Wszystko w porządku?

- Oczywiście- odparła z wymuszonym uśmiechem.

- Nie zraniłem cię, prawda? Wydawała się zaszokowana jego pytaniem.

- Oczywiście, że nie! Byłeś niesamowity. Odgarnął kilka niesfornych kosmyków z jej twarzy.

- Skoro już o tym mowa, to wcale nie byłaś gorsza.

- Jacob. Nie chciałabym, żebyś myślał, że często tak się zachowuję. No wiesz, że wskakuję do łóżka mężczyźnie, którego ledwo znam.

- Żałujesz tego, co się właśnie stało?

- A ty?

- Rozmawiasz z facetem, który jest świeżo po fantastycznym seksie z piękną kobietą - zauważył. - Musisz pytać?

- Chcę tylko wiedzieć...

Jacob zmarszczył brwi i złapał ją za rękę.

- Wiedzieć co?

W jej oczach pojawiła się niepewność i strach.

- Do jakiego stopnia to było pożądanie, a do jakiego litość.

- Myślisz, że kochałem się z tobą z litości?

- Nie wiem. - Poczula, że zbiera się jej na płacz. - Nie chcę czuć się wykorzystana. Nie chcę, żeby ktoś mnie skrzywdził ani żeby komuś było mnie szkoda.

Jego grymas zniknął. Zbliżył się do niej, wziął ją za rękę i przysunął sobie do piersi.

- Chcesz wiedzieć, dlaczego się z tobą kochałem? Skinęła lekko głową, mrugnawszy powiekami, by powstrzymać łzy.

- Dlatego - powiedział i pocałował ją.

LR

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Fran westchnęła, gdy z czułością ją pocałował. Łatwo jej było sobie wyobrazić, że Jacob się w niej zakochuje.

Zakochuje się? Słowa te dzwoniły jej w głowie. Czy tego od niego oczekiwała - że się w niej zakocha tak samo, jak ona zakochała się w nim? Jak to się stało? W jednej chwili nienawidziła go, może nie aż tak bardzo, ale na pewno nie przepadała za nim, a teraz miałyby się w nim zakochać?

Z łatwością, pomyślała, gdy Jacob pocałował ją goręcej, wywołując kolejną burzę w jej zmysłach. Jakżeby mogła się **W** nim nie zakochać? Był najbardziej zniewalającym facetem, jakiego знаła. Niemal od pierwszej chwili czuła między nimi iskrzenie, a z każdym dniem uczucie, które starała się zignorować, przybierało na sile. Ale mogła się tylko domyślać, czy on czuł do niej to samo. Znała mężczyzn na tyle dobrze, by wiedzieć, że kierują się potrzebami ciała, a nie podszeptami serca.

Jacob był kawalerem mieszkającym w cichym nadmorskim miasteczku, gdzie szansa na spotkanie odpowiedniej kobiety jest znacznie mniejsza niż w dużym mieście. Wspomniał, że kilka miesięcy wcześniej rozstał się z dziewczyną, a jakież pełno krwisty samiec zrezygnuje z nadarzającej się okazji na przygodę?

Wzdrygnęła się na myśl, jak łatwo poddała się jego zalotom. Wiedziała, że w tych czasach pójście z mężczyzną do łóżka po zaledwie kilku randkach nie stanowi niczego zdrożnego, ale aż do tej pory nie czuła chęci robienia czegoś takiego. Jacob sprawił, że zapomniała o rozsądku. Wystarczyło jedno spojrzenie tych błękitnych oczu i zaraz odzywało się w niej bezwstydną pożądanie.

Pragnienie rozlewało się falami za każdym razem, gdy czuła w ustach jego język. Jego wargi paliły ją, a ona nie mogła nasycić się pocałunkami. Nie sposób było zignorować uczucia. Przytuliła się do niego. Wciąż miał na sobie dzinsy, ale jego obnażona klatka piersiowa ocierała się o jej piersi, wywołując dreszcze.

Pocałunek przerwało brzęczenie telefonu.

- Przepraszam - powiedział Jacob z niechęcią, sięgając po komórkę. - Powinienem odebrać.

Dokładnie tego potrzebowała Fran, by wskoczyć z powrotem w ubranie i odzyskać zdolność racjonalnego myślenia. Tempo było zabójcze. Z trudem się pozbierała. Czuła się oszołomiona, zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Seks z Jacobem zupełnie ją przytłoczył. Była zszokowana tym, jak łatwo mu się oddała. Gdyby nie telefon, zrobiłaby to znowu.

Kiedy zakończył rozmowę, zmienił dzinsy na mundur, zapiał pas i sięgnął po kapelusz.

- Możemy odpuścić sobie kolację?

- Jasne. Zresztą i tak powinnam wrócić do Rufusa.

Jacob pochylił się i pocałował ją.

-

Zadzwonię jutro.

Fran jechała do domu z rozpalonymi ustami i mrowiącym ciałem. Na jej twarzy pojawił się uśmiech gdy pomyślała o najbliższych kilku miesiącach które miała spędzić w Pelican Bay w towarzystwie Jacoba, pierwszego mężczyzny, którego naprawdę pokochała.

Następnego ranka, kiedy Fran wyszła ze sklepu, postanowiła zajrzeć do baru Tony'ego po drugiej stronie ulicy. Usiadła w jednym ze staroświeckich boków i sączyła herbatę, czekając na zamówioną kanapkę;

Dzwonek nad drzwiami oznajmił nadejście klienta. Fran podniosła głowę i zobaczyła Jacoba. Zdjął kapelusz i uśmiechnął się do niej.

- Dzień dobry, sierżancie - rzucił Tony zza lady - Co podać?

- Kawę.

- A może kanapkę?

- Nie dzisiaj. Mam mało czasu. Wystarczy kawa

- Się robi.

Siadając po drugiej stronie boksu, otarł się o jej kolana. Fran poczuła, jak jej ciało budzi się do życia

- Gorąco, co? - odezwał się, ukrywając podtekst w spojrzeniu.

- Lubię, jak jest gorąco - odparła. - Bardzo. Oparł łokcie na stole. Jego dłonie znajdowały się zaledwie kilka centymetrów od jej dłoni. Spojrzała na jego palce - wystarczył jeden ruch, by ich dotknąć.

- Tak sobie myślałem. Uważam, że to, co jest między nami, powinniśmy utrzymać jak najdłużej w tajemnicy.

Fran miała nadzieję, że nie widać po niej rozczarowania. Chciała obwieścić całemu światu, co czuje do Jacoba, ale on woli pozostać w ukryciu.

Rozumiała to. W końcu jest ważną postacią w tej niewielkiej społeczności. Z drugiej strony, byłoby miło, gdyby otwarcie przyznał, co ich łączy.

- Dobry pomysł. Chyba - skwitowała, zadowolona, że nie zdążyła pochwalić się Caro.

Jacob zerknął na Tony'ego, który zmierzał w ich kierunku, niosąc kawę i kanapkę. Tony spojrzał na Jacoba.

- Słyszałem, że złapano tego gościa, który poturbował Wade'a Smitha.

- Tak. Przyszedłem przekazać wieści doktor Nin.

A więc chodzi o sprawy zawodowe, a nie osobiste, stwierdziła z żalem Fran. Szybko nauczy się je odróżniać.

- Ktoś znany?

- Nie, to nikt miejscowy. Smith miał jakiś zatarg z „kumplem” z więzienia. Facet przywiózł go tutaj, pokłócili się i zrobiło się nieprzyjemnie. Upozorował wypadek. Znaleźliśmy jego DNA w domu Smitha, a DNA i krew Smitha były w jego samochodzie. Wczoraj Smith obudził się i potwierdził tożsamość napastnika.

Zamieniwszy jeszcze kilka słów z Jacobem, Tony wrócił do kuchni.

- Pewnie cieszysz się, że rozwiązałeś sprawę - odezwała się Fran.

- To zasługa całego zespołu. Ale owszem, jestem zadowolony. Dlatego uwielbiam być gliną. Nie jesteś w stanie rozwikłać każdej sprawy, ale starasz się. Weźmy na przykład morderstwo mojego ojca. Być może nigdy nie poznam szczegółów, ale mimo to nie ustane w wysiłkach.

Fran sięgnęła do jego dłoni. Nie cofnął jej.

- Myślę, że twój ojciec byłby z ciebie dumny.

- Dziękuję - odparł, ściskając jej dłoń. - Lepiej już pójdę. - Sięgnął po kapelusz. - Przyjdiesz dzisiaj poćwiczyć przed kolacją?

Żałowała, że brak jej sił, by powiedzieć: „Nie” Być może, gdyby odegrała trudniejszą do zdobycia, przełamałaby tym samym jego niechęć przed ujawnieniem ich związku. Ale z natury nie była manipulatką i nie zamierzała kombinować.

- Jeżeli tobie to nie przeszkadza.

Dotknął przelotnie jej dłoni, gdy opuszczał boks;

- Odliczam godziny. - Puścił do niej oko i wyszedł.

Kiedy zniknął za drzwiami, Fran spojrzała na nie-napoczętą kanapkę.

- Jeżeli podczas waszych spotkań nie będziecie nic jedli, mój lokal straci renomę - powiedział nagle Tony, sprzątając ze stołu.

- Och, to nie było spotkanie... w sensie randka - wypaliła, czerwieniąc się.

- Jasne. - Tony spojrzał na nią znacząco. - Zapakuję tę kanapkę na wynos.

- Dzięki. - Posłała mu słaby uśmiech.

Wracając do domu, Fran spotkała Tarę idącą do pracy. Wydawała się mniej spięta i nawet rozważała powrót do regularnego chodzenia do szkoły.

- Nie chcę do końca życia pracować w sklepie

- wyjaśniła. - No, chyba że we własnym.

- Myślałaś, co chciałabyś robić po szkole? Tara obciągnęła rękawy, jakby chciała ukryć przeszłość.

- Tak. - W jej oczach pojawiła się determinacja.

- Chcę być lekarzem rodzinnym. Jak pani.

- Ja właściwie jestem lekarzem z urazówki.

- Ale pani jest świetnym lekarzem ogólnym. Chciałabym, żeby pani została.

- Obawiam się, że to niemożliwe. Opowiedziała Tarze pokrótce o wypadku, ale tak, żeby nie zniechęcić jej do kariery lekarza.

- Co by się ze mną stało, gdyby pani się nie pojawiła w odpowiednim momencie? Pomogła mi pani, naprawdę. Przemyślałam to sobie w domu. W pewnym sensie pozwoliłam, żeby matka wygrała przez to, że jej odejście schrzaniło mi życie. Nie chcę, żeby tak było. Chcę pomagać ludziom tak jak pani.

Fran poczuła przyjemne ciepło.

- Cieszę się, Taro. Myślę, że będziesz świetna w tym, co postanowisz robić.

Tara przestąpiła z nogi na nogę.

- Chcę pani podziękować za to, co pani zrobiła dla mojego ojca... To znaczy, że porozmawiała pani z sierżantem Hawkiem.

- Ach tak, no cóż, to nic wielkiego. Sierżant nie powinien robić kłopotów.

- Przyjechał do nas.

Fran uniosła brwi. Tara skinęła głową.

- Przywiózł piwo. Pogadali sobie z tatą. Sierżant dogadał z Joem Pellerim jakąś sprzedaż na raty czy coś, więc tata będzie mógł sobie kupić nowe opony. Pelleri da mu duży upust. Chyba sierżant go do tego namówił.

- Faktycznie wygląda to na dzieło sierżanta.

- To skryty facet, no nie? Nie lubi się chwalić dorymi uczynkami. To w nim lubię. Nie jest zapatrzony, w siebie jak inni faceci. To super, że się spotykacie. Byłoby ekstra, gdybyście się pobrali i zostali tu na zawsze.

Fran zamrugła szybko.

- My nie, to znaczy, to nie jest...

- Widziałam was przed chwilą w barze.

Mam na dzieję, że kiedyś jakiś przystojniak też tak na mnie spojrzy. Wie pani, maślanymi oczami.

- To nie tak, jak myślisz.

Tara uśmiechnęła się, zarzucając plecak na ramię.

- Muszę lecieć. Powiedziałam pani Hadley, że wezmę za nią jeszcze jedną zmianę.

Zanim Fran poszła do Jacoba, zabrała Rufusa na spacer. Od morza wiała lekka bryza, wypełniając powietrze kroplami morskiej wody. Fran wciągnęła głęboko do płuc odświeżające chłodne powietrze, które ukoilo ją po upalnym dniu. Rufus szczeknął radośnie i popruł przed siebie. Zatrzymał się dopiero przed Jacobem.

Fran patrzyła, jak mężczyzna i pies zacierają w jej kierunku. Rufus podskakiwał z radością, jaką i ona odczuwała na widok ukochanego. Nie mogła się doczekać, by mu to oświadczyć, ale uznała, że jeszcze za wcześnie. Wiele razy rozmawiała z przyjaciółkami o tym, jak rzadko w tych czasach mężczyźni chcą się angażować, jak bardzo kochają wolność. Mał-

żeństwo i dzieci to coś, co odsuwają w czasie aż do trzydziestki, czasem nawet dłużej, a bywa, że w ogóle z tego rezygnują.

Fran nie potrafiła wyobrazić sobie życia bez rodziny. Marzyła o niej całe życie, pragnęła w przyszłości odtworzyć kochającą atmosferę rodzinnego domu. Rodzice od niemal trzydziestu pięciu lat tworzyli trwałą, wierne i zharmonizowany związek, dlatego Caro i Fran zarzekały się od najmłodszych lat, że zwiążą się tylko z takimi mężczyznami, którzy całkowicie im się poświęcą.

- Tak myślałem, że cię tu znajdę - przywitał ją Jacob.

- To moje ulubione miejsce - odparła z uśmiechem.

Odgarnął z jej twarzy niesforny kosmyk. Przejechała językiem po wargach i w tej samej chwili Jacob poczuł znajome ukłucie, czyste pożądanie, pulsowanie wywołane chęcią zatopienia się w niej. Była piękna - bosa, na plaży, z rozwianymi włosami, lekko zaróżowionymi policzkami i tym uroczym błyskiem niezdecydowania w oczach.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował. Smakowała truskawkową pomadką i morską bryzą. Pomyślał, że nigdy nie będzie miał jej dość.

Wtuliła się w niego, dopasowując się idealnie swoim szczupłym ciałem do jego muskularnej postury. Położył ręce na jej plecach i przysunął ją jeszcze bliżej. Poczuł, jak zadrżała i usłyszał, jak nabrała powietrza, gdy powiódł ustami po jej szyi.

- Masz pojęcie, jak bardzo cię pragnę? - wyszeptał, całując jej obojczyk.

Otoczył jej twarz dłońmi i zajrzał głęboko w oczy. Wściekłe fale biły o brzeg z intensywnością równą wrzącej w nim krwi.

- Nikogo tak nie pragnąłem. To szczerza prawda. Nigdy się tak nie czułem.

- Ojej! - Uśmiechnęła się szeroko.

- Tylko na tyle cię stać? - zapytał z udawaną złością.

Wydała z siebie rozmarzone westchnienie.

- Och, ojej...

Uśmiechnął się i ponownie ją pocałował .

- Obiecałem ci wczoraj kolację i nie dotrzymałem umowy. Tym razem przyrzekam, że nie pokocham się z tobą, dopóki cię nie nakarmię.

Fran zagryzła wargę i odezwała się:

- Obawiam się, że całkiem sporo osób o nas wie. Na przykład Tara. Widziała nas w barze. Tony też dał mi to do zrozumienia.

Jacob wzruszył ramionami i pocałował ją w rękę.

- To minus mieszkania w małym miasteczku. Wystarczy, że na kogoś spojrzysz, i zaraz rodzą się plotki. Staram się je ignorować, ale powracają.

Fran miała nadzieję, że ich związek nie umrze, zanim tak naprawdę się narodził.

Byli już przy ścieżce prowadzącej do domu Caro, kiedy zadzwoniła komórka Jacoba. Skrzywił się, spojrzawszy na ekran.

- Kłopoty - stwierdził i odebrał.

Fran słyszała tylko strzępki rozmowy. Serce w niej zamarło, gdy zorientowała się, że posterunkowy Jeffrey donosi o wypadku przy kamieniołomie Bellbird Gully.

- Już jadę - rzucił Jacob. - Zabieram ze sobą doktor Nin. - Zakończył rozmowę i rzucił Fran ponure spojrzenie. - Wygląda na to, że Beth Judd jest ranna. Coś poważnego. Znaleziono ją nieprzytomną.

- Gdzie jest Kane?

- Nie ma śladu po dziecku i chłopaku Beth - odparł Jacob.

Fran zrobiło się słabo. Pognała po torbę ze sprzętem medycznym. Zamknęła Rurasa w domu i wybiegła na zewnątrz. Jacob czekał na nią w samochodzie.

Podróż do wybudowanego w pobliżu opuszczonego kamieniołomu domu, w którym mieszkali Beth Judd i Dave Calder, zajęła kilka nerwowych minut. Fran w myślach gromiła samą siebie, że nie zrobiła nic, gdy miała ku temu okazję.

- To moja wina. Jeżeli coś im się stanie, to będzie moja wina.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Kiedy dotarli do zaniedbanego domu przycupniętego na stromym zboczu nieopodal dawnego kamieniołomu, zobaczyli sąsiadkę czekającą bezradnie obok sznura do bielizny i kosza z praniem, przy którym leżała nieprzytomna Beth.

Beth oddychała normalnie, ale jej tętno wynosiło ponad sto uderzeń na minutę. Poza paskudnym siniakiem na twarzy, który wyglądał na dość świeży, nie było na jej ciele żadnych obrażeń. Fran sprawdziła źrenice - prawa była większa niż lewa, co sugerowało uraz głowy. Obejrzała dokładnie głowę Beth, zwłaszcza tył czaszki, ale nie znalazła niczego podejrzanego - żadnego obrzęku, krwi, krwotoku z nosa lub uszu.

- Co z nią? - zapytał Jacob.

- Oddycha normalnie - odparła Fran, sięgając po stetoskop. - Nie widzę oznak urazu głowy, ale to o niczym nie świadczy. Ma rozszerzoną jedną źrenicę.

- Karetka przyjedzie za mniej więcej dwadzieścia minut. - Spojrzał na kosz z bielizną i rozrzucone klamerki.

Fran przewróciła oczami i wsłuchiwała się w równe i spokojne bicie serca Beth. Wyjęła słuchawki z uszu i zapytała Jacoba, który przykucnięty badał teren wokół kosza:

- Jakieś wieści na temat Dave'a i Kane'a?

- Jeffrey nad tym pracuje. Dave miał dzisiaj wolne. Jeden z jego kumpli powiedział, że wspominał coś o rybach.

Jacob powiódł wzrokiem po spalonej słońcem o-kolicy.

- Rozejrzę się. Zawołaj, gdybyś czegoś potrzebowała.

Nagle Beth otworzyła oczy.

- C-co się dzieje?

- Beth, twoja sąsiadka znalazła cię nieprzytomną. Zdezorientowana Beth mrugnęła kilkakrotnie.

- Gdzie Kane? Był ze mną, kiedy rozwieszałam pranie.

- Czy to Dave go zabrał? - zapytała Fran. Beth jakby starała się wszystko sobie przypomnieć.

- Nie, bo co? Mówię, że był tu ze mną. - Próbowała wstać, ale raptem zrobiła się blada. - O Boże, gdzie moje dziecko?

Serce Fran zaczęło się tłuc w piersi.

- Beth, czy jesteś absolutnie pewna, że Kane był z tobą?

- Proszę mi pomóc... Fran uścisnęła dłoń Beth.

- Robimy co w naszej mocy. Karetka jest w drodze. Będziesz musiała pojechać do szpitala.

- Nigdzie nie jadę. Nic mi nie jest. Muszę znaleźć Kane'a. Rozumie pani? - Otworzyła szeroko oczy. - Muszę znaleźć moje dziecko!

- Beth, co się stało? Czy to ma coś wspólnego a Dave'em? Możemy ci pomóc.

Beth skrzywiła się.

- O czym pani mówi? Dave mnie nie uderzył. Myśli pani, że Dave krzywdzi Kane'a? Jak pani śmie?

- Beth, ja niczego nie sugeruję. Próbujemy dowiedzieć się, co się wydarzyło.

Fran rzuciła okiem na miejsce, które wcześniej oglądał Jacob. Widać było ślady małych stóp Kane'a i wąskie odciski butów Beth, jak również zagłębienia od opon ciężarówki zabawki. Nie było śladu walki.

Prześledziła w myślach różne scenariusze.

- Beth, jaka jest ostatnia rzecz, którą pamiętasz, zanim się ocknęłaś?

- Wyniosłam pranie, Kane miał ze sobą ciężarówkę. Zatrzymał się, żeby obejrzeć żuka w trawie i wtedy... - Przełknęła i popatrzyła na Fran pustym wzrokiem. - I wtedy zemdlałam.

- Czy zdarzyło ci się to już wcześniej?

- Tak. - Zaczęła płakać. - Za pierwszym razem upuściłam Kane'a. Wtedy zranił się w rękę. Bałam się, że mi go odbiorą. Matka mi tym zagroziła, kiedy dowiedziała się, że się spotykam z Dave'em. Bo był w poprawczaku.

- Już dobrze, Beth. Nikt ci nie odbierze Kane'a. Co ci się stało w twarz? Masz świeżego siniaka. Czy to się stało wczoraj? Pamiętasz, skąd go masz?

- Zemdlałam. Dave był w ogrodzie z Kane'em. Uderzyłam się o stół.

Fran nachyliła się nad Beth.

- Musisz pojechać do szpitala na tomografię.

- Ale co z Kane'em?

- Jeżeli sądzisz, że Dave właściwie się nim nie zajmie, wtedy zwrócimy się do opieki społecznej.

Beth zalała się łzami.

- Nie chcę obciążać Dave'a. Był dla mnie i dla Kane'a taki dobry. Ciągle się uczy, jak postępować z dzieckiem.

- Czy wiesz, gdzie on teraz jest? - zapytał Jacob, wracając do nich. - Musimy powiadomić go o twoim omdleniu i dowiedzieć się, gdzie jest Kane.

Beth zmrużyła oczy, jak gdyby oślepiło ją słońce.

- Wziął wolne. Chciał nas zabrać na ryby, ale ja mam chorobę morską. - Zagryzła wargę. - Brakuje nam forsy. To chyba widać. Dwa razy w tygodniu chodzi na ryby, żebyśmy mieli co jeść. Mięso jest takie drogie.

Karetka z impetem wtoczyła się na podjazd, a za nią radiowóz. Jacob szybko wtajemniczył w sprawę dwóch kolegów, a Fran pomogła ratownikom przenieść Beth do karetki.

Fran włączyła się w akcję poszukiwawczą pod kierunkiem Jacoba. Ostrożnie stawiała stopy, przeczesując teren. Busz falował w rytm bryzy, która wzbijała tumany pyłu z kamieniołomu. Teren był tutaj mniej kamienisty - zastanawiała się, czy Jacob specjalnie przydzielił jej ten odcinek ze względu na jej nogę. Sam wziął na siebie najbardziej niebezpieczny fragment: głęboką wyrwę z postrzępionymi skałami, rozdziawionymi niczym groteskowe usta czekające na kąsek.

Zatrzymała się i wsłuchiwała w ciszę. Usłyszała kwilenie na granicy słyszalności. Poszła w kierunku, z którego dolatywał dźwięk. Właśnie miała zawołać Jacoba, kiedy spostrzegła czarną dziurę szybu kopalni, częściowo

zamaskowaną przez busz. Szybko zrobiła krok do tyłu, ale chora noga zawiodła i dosłownie złożyła się pod nią. Fran upadła pod dziwnym kątem. Poczwała, jak ziemia usuwa jej się spod nóg w zwolnionym tempie.

- Fran! - usłyszała głos Jacoba i poleciała w dół. Spadała i spadała. Jakimś cudem udało jej się otworzyć oczy w samą porę, by dostrzec wystający korzeń drzewa, niczym kiwający na nią wykrzywiony artretyzmem paluch. Sięgnęła na oślep i zawisła na nim jak szmaciana lalka. Kręciło jej się w głowie, bolało ją całe ciało, a w żyłach buzowała adrenalina.

Wtedy ponownie usłyszała ciche kwilenie. Poprawiła chwyt i spojrzała w dół. Na wyciągnięcie ręki dostrzegła występ, na którym leżało bezwładne, zakrwawione, przysypane pyłem, ale na szczęście żywe dziecko. To był Kane.

Malec otworzył buzię i jęknął.

- Mamo!

- Już dobrze, kochanie - powiedziała Fran, desperacko broniąc się przed płaczem, byle go bardziej nie wystraszyć. - Twoja mama przysłała mnie po ciebie.

- Spadłem - zawył i spróbował wstać.

- Nie ruszaj się! - Głos Jacoba odbił się niepokojącym echem. - Na miłość boską, niech żadne z was się nie rusza.

Fran zamarła, gdy uświadomiła sobie, w jakim niebezpieczeństwie obydwójce się znaleźli. Nigdy nie czuła takiego strachu. Gdyby musiała teraz stawić czoło Scottowi Draperowi i jego napędzanej prochami wściekłości, zbyłaby go machnięciem ręki.

Nigdy by sobie nie wybaczyła, gdyby Kane spadł z występu i zginął. Nie miała pojęcia, jak głęboki był szyb, ale wydawał się nie mieć dna. Występ, na którym leżał Kane, nie wytrzyma większego ciężaru, a korzeń, którego uczepiła się Fran, zaczął niepokojąco trzeszczeć.

- Spuszczę linę - oznajmił Jacob chłodnym tonem profesjonalisty. - Obwiąż sobie nadgarstek, a potem złap Kane'a. Żadnych gwałtownych ruchów.

Fran postąpiła zgodnie z instrukcjami, choć ręce trzęsły się jej jak oszalałe. Potem wychyliła się, by złapać Kane'a. Ledwo sięgnęła jego paluszków.

- Wyciągnij do mnie rękę, Kane - poprosiła. - Wracamy do mamy.

- Moja ciężarówka spadła - powiedział, pokazując w dół szybu.

Serce Fran zamarło, gdy nagle korzeń puścił i uderzyła o ścianę.

- Kupię ci nową, kochanie. Kupię ci sto ciężarówek, ale teraz złap mnie za rękę, dobrze?

- Chcę ciężarówkę! - jęknął malec.

Rozległ się odgłos kroków, a za chwilę dało się słyszeć męski głos.

- Kane? To ja, Dave.

Fran uniosła głowę, by w oślepiającym blasku ujrzeć szarą twarz mężczyzny niewiele starszego od Beth, który, asekurowany przez policjanta, zaglądał do szybu.

Dave klęknął i odezwał się:

- Kane, posłuchaj mnie, stary. Złap tę panią za rękę, co? Kiedy wyjdiesz, to kupimy ci największą ciężarówkę, jaka będzie w sklepie, okej?

Kane powoli podniósł rączkę. Fran wiedziała, że nigdy nie zapomni chwili, gdy zamknęła w dłoni jego grube paluszki. Miała ochotę głośno się śmiać, gdy obydwójce poszybowali ku wyjściu.

Była posiniaczona i poobijana, ale przynajmniej obydwójce żyli. Dave ścisnął Kane'a, płacząc bez zażenowania i powtarzając:

- Już dobrze. Tata Dave jest przy tobie. I Fran też płakała.

Sanitariusze zaprowadzili Dave'a i Kane'a do karetki, a Jacob przytulił Fran.

- Niech mi to będzie ostatni raz - powiedział, niemal miażdżąc ją w uścisku. - Myślałem, że cię stracę. Nie przeżyłbym tego. Przecież dopiero cię odnalazłem.

Fran przytuliła się do niego i wciągnęła jego zapach, zaskoczona tym, jak bardzo była pewna swoich uczuć. Podniosła głowę i spojrzała w zaczerwienione i zakurzone oczy Jacoba.

- Wiesz co? Chyba cię kocham - powiedziała.

- Musiałaś wpaść do szybu, żeby to sobie uzmysłwić?

- Chyba tak.

- Życie mignęło mi przed oczami, kiedy zniknęłaś w tej dziurze. Zdałem sobie sprawę, że nie mogę bez ciebie żyć. Wiem, że nie chcesz zostać w Pelican Bay. Nie zamierzam naciskać, ale proszę, zastanów się, czy nie mogłabyś zostać tu jako moja żona.

Fran zamrugła powiekami.

- Czy ty mi się oświadczasz, sierżancie? Jacob roześmiał się.

- No, chyba tak. Przed śmiercią matka powiedziała mi, że wiedziała, że wyjdzie za ojca w chwili, gdy go poznała.

- A gdzie go poznała?

- Prawie przejechał ją motorem - wyznał, wykrzywiając usta w uśmiechu.

- Aha, to widać tak miało być - odparła Fran, uśmiechając się szeroko.

- Dowiedziałem się, że są jakieś problemy z papierami lekarza, który miał przyjechać na zastępstwo, więc może tymczasem objęłabyś jednak tę posadę?

- Jak długo to potrwa? Posłał jej seksowny uśmiech.

- Powiedzmy dziewięć miesięcy, a potem zamiast wykrecać się bólem głowy, miałabyś dla pacjentów prawdziwą wymówkę.

Fran uśmiechnęła się promiennie.

- Wtedy, jeżeli będę musiała odwołać wizyty w ostatniej chwili, powiem, że to wszystko twoja wina.

- Nie mogę się doczekać, aż zostanę uznany za winnego - powiedział i pocałował ją czule.

Dwa miesiące później

Kiedy Fran u boku ojca przybyła do kościoła w Pelican Bay, ujrzała tam całe miasteczko.

Zbiorowe westchnienie, które wyrwało się z piersi zebranych, gdy szła alejką ku Jacobowi, sprawiło, że przeszły ją ciarki. Jacob uśmiechał się do niej i podziwiał ją błyszczącymi oczami. Caro mazała się jak dziecko.

- Wyglądasz powalająco - oświadczył Jacob. Uśmiechnęła się do niego.

- Ty też wyglądasz niczego sobie.

- Wszyscy tu są.

- Nie wszyscy - szepnęła w odpowiedzi. - Rufus siedzi w domu i obra-
bia kość.

W oczach Jacoba pojawił się błysk.

- Jesteś pewna?

Odwróciła się, słysząc znajome szczeknięcie. Zanim ktokolwiek zdążył
zareagować, Rufus pokonał alejkę i usiadł obok Jacoba, radośnie wałąc
ogonem w posadzkę.

Jacob sięgnął do obroży i odczepił do niej małe puzderko.

- Dzięki, stary - rzekł, mierzwiąc psiakowi sierść. Fran otworzyła sze-
roko oczy.

- Powierzyłeś mu obrączki?

Jacob wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- A któż lepiej nadawałby się na moją drużbę?